NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica [illegible] Wielkiego L. 95 (dom [illegible]).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 80 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 4 marca 1922. Nr. 9.

Nieudały podstęp przemytnika



Polska straż graniczna przytrzymuje rosyjskiego „upiora", usiłującego przemycić cukier i spirytus

Nieudały podstęp przemytnika.

(Do illustracyi tytułowej).

Wiara w duchy, strachy, upiory i inne podobne im nadprzyrodzone istoty tak silnie jest zakorzenioną między naszym ludem, a częściowo nawet i między inteligencyą, że nawet najwymowniejsze przekonywania obalić jej nie potrafią. Każdy z tych „strachajłów“, który obawia się wejść do ciemnego pokoju, a przejście nocną porą około cmentarza przypłaciłby zdrowiem lub życiem, choć ze „strachem“ nigdy w życiu się nie spotkał, opowiada o nich fantastyczne historye, siejąc grozę między słuchaczami, wierzącymi święciej jego słowom, niż zapewnieniom ludzi rozsądnych, że to bajki z palca wyssane.

Obawa przed „strachami“ wyzyskiwaną bywa przez indywidua zbrodnicze, które korzystając z ludzkiej łatwowierności przybierają częstokroć na się postać widm, lub upiorów, aby sobie w ten sposób ułatwić wykonanie karygodnego czynu, niejeden bowiem z napadniętych widząc przed sobą człowieka, oparłby się mu może. W przekonaniu jednak, że ma do czynienia z dyabłem lub podobnem mu stworzeniem o nadludzkiej sile, spełnia pokornie jego rozkazy, zadowolony, że wyszedł bodaj z życiem z tak strasznej opresyi.

Ale i złym duchom błąkającym się po świecie w niecnych celach, zaczyna się obecnie źle powodzić. Niedawno czytaliśmy, iż w pewnej wsi pod Rozwadowem wpadł w ręce policyi państwowej całkiem oryginalny, choć krajowego chowu, dyabeł, który nocną porą przyszedł do wieśniaczki upomi nać się o wydanie stu dolarów, jakie w przeddzień otrzymała z Ameryki, obecnie na granicy polsko-rosyjskiej nie powiodła się sztuczka „upiorowi“, mającemu zamiar przemycić kilkadziesiąt funtów cukru i pewną ilość spirytusu. Był on pewny, że obawa przed strachami usunie mu z drogi przeszkody, przekonał się jednak, że polska straż graniczna nawet „duchów“ nie respektuje i nie pozwala im na nielegalne przekroczenie granicy.

Z błyszczącemi oczyma, okryty prześcieradłem, mógł Wasilij Markow napędzić strachu nawet śmiałkowi, zetknąwszy się z nim nocną porą w leśnej gęstwinie, nie przeraził jednak strażnika granicznego, znającego się widocznie dobrze na podstępach przemytników, który „upiora“ przytrzymał, z rewidował i odstawił do swej komendy.

Koronacya Ojca świętego.

Dzień 12. lutego był dla Rzymu, a także i dla całego świata katolickiego, dniem uroczystym. W dniu tym odbyła się w bazylice św. Piotra z zachowaniem wspaniałego i podniosłego ceremoniału koronacya nowego Papieża, której przebieg podajemy za korespondentem tak poważnego pisma, jak „Daily Chronicle“.

Gdy krótko przed 9 tą Papież przy dźwiękach marsza papieskiego wkroczył do katedry i, siadłszy w krześle pontyfikalnem, wzniósł się wysoko ponad głowy oklaskującego go tłumu, utworzył się obraz, nieznany wielu świeckim monarchom. Olbrzymia zielona przestrzeń katedry wypełniona była ludźmi, którzy miejscami wdrapywali się na posągi i konfesyonały, a wzdłuż centralnej nawy, od wejścia do wysokiego ołtarza, stróżowały szeregi gwardyi papieskiej z zielonawemi kokardami. Z poza ołtarza ciągnął się do stóp Papieża czerwony kobierzec, łączący się z zielonym, który leżał przed tronem. Na nim stali gwardziści szlacheccy w karmazynowych tunikach, w białych pantalionach i wysokich brunatnych butach z obnażonymi pałaszami w rękach.

Na *ad hoc* wzniesionych trybunach zajmowało miejsce świetne ciało dyplomatyczne, akredytowane przy Watykanie, arystokracya rzymska, rycerze Maltańscy w jaskrawo - czerwonych uniformach, którzy tem więcej przenosili widzów w średniowiecze, że mieli rycerskie czapki i miecze, czarne aksamitne płaszcze i złote łańcuchy na piersiach.

W chwili wejścia Papieża całe to zgromadzenie oklaskami i powiewaniem chustkami dało wyraz swej radości. I możnaby wybaczyć Papieżowi, jeżeli w tym momencie przystąpiła doń duma. Wikaryusz Chrystusa Pana na ziemi, duchowy władca cesarstwa, nad którem słońce nigdy nie zachodzi, a u stóp jego ów wspaniały tłum — coś wspanialszego trudno sobie wymarzyć.



Koronacya Ojca Świętego: Po akcie koronacyi udziela Pius XI, ubrany w strój pontyfikalny, z zewnętrznego balkonu bazyliki błogosławieństwa setkom tysięcy wiernych, zebranych na Placu św. Piotra.

Atoli rytuał wymagał, by Papież myśli swe trzymał na uwięzi. Skoro począł posuwać się ku ołtarzowi, wystąpił kuryer z lancą i trzykrotnie zapalił knot, który, nasączony oliwą, wnet spłonął. Ile razy go gaszono, kuryer odzywał się do Papieża:

— *Sanctissime pater, sic transit gloria mundi..*

Tak przypomniano mu, jak znikome jest życie każdego z nas.

Następnie kardynałowie i przeorzy składali mu hołd i całowali jego stopę, zaczem rozpoczęła się msza pontyfikalna, którą odprawiał sam Papież. A wtórowały jej chóry Sykstyński i Gregoryański. W momencie, gdy służący do mszy duchowni po podniesieniu poczęli rozsiewać wonie myrry i kadzideł, rozległa się gromka komenda w katedrze i wszystkie trzy gwardye stanęły na baczność. Druga zagrzmiała komenda i gwardye padły na kolana, pałasze pochyliły się do ziemi i nagle świetny lęk, najwyższa cześć padły na tłum 80 tysięczny.

Pod czworokątnym baldachimem przy ołtarzu widniała postać Ojca św. w ciężkich, białych szatach, okrytych złotem, a dokoła niej zgrupowali się kardynałowie, również biało odziani, z białemi mitrami, a dalej rzesze innych duchownych, ujęte w wieniec klęczących gwardzistów.

Powoli, wznosząc hostyę, Ojciec św. zwracał się na wsze strony nad klęczącym tłumem, a z wyżyn, z pod kopuły Michała Anioła płynęły dźwięki trąb, dziwny wywołując nastrój. A świetny wzniosły ten moment streszczał się w niewielkiej postaci mężczyzny o wybitnie inteligentnej twarzy, znużonej i bladej w czasie celebrowania mszy świętej.

Krótko po mszy nastąpiła procesya do podium statuy św. Piotra, którego prawa noga jest dziś już starta od pocałunków pobożnych. Za mnichami różnych klasztorów postępowali wszyscy biskupi i kardynałowie, a za nimi niesiono w krześle Papieża z baldachimem nad głową i dwoma puszystymi wachlarzami ze strusich piór. Powoli ustawiono krzesło na czerwony kobierzec przed statuą, zaczem wyjęto Papieżowi z rąk mitrę i tu jezuita, kardynał Billot, zamiast chorego kardynała Bisletti'ego, złożył błyszczącą tyarę na jego głowie i tem ukoronował nowego Papieża.

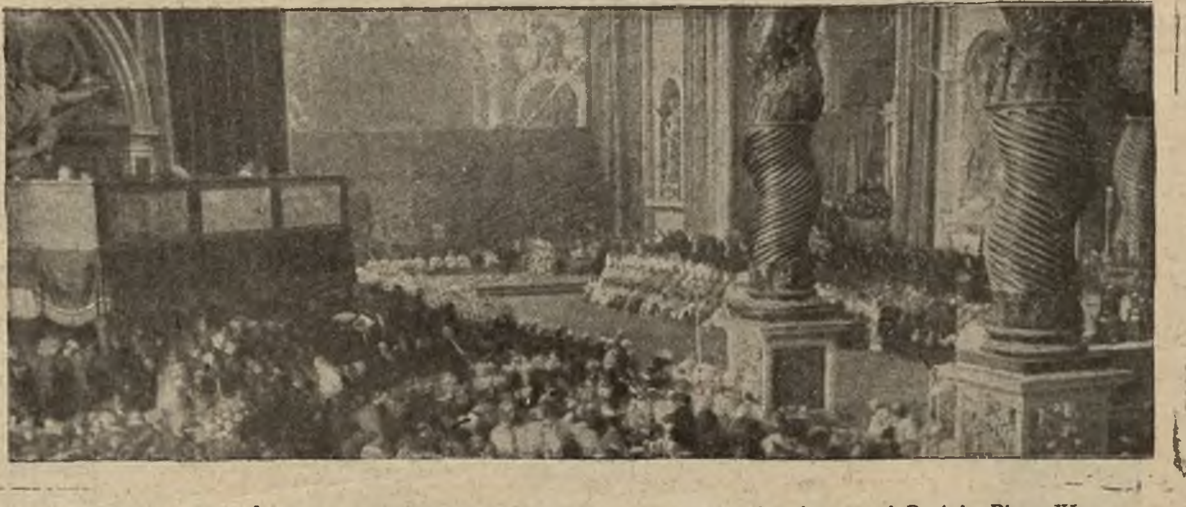
Tutaj tłum mógł swobodnie przyjrzeć się Ojcu św. Wnet z górnych rejonów katedry ozwał się okrzyk:

— *Viva il papa!*

Zagrzmiały oklaski, pojawiły się białe chustki i katedra postradała swój ceremonialny, uroczysty charakter wśród ogólnego entuzyazmu.

Tak, jak w dniu elekcyi, pytano się znów, czy Ojciec św. wystąpi na balkon zewnętrzny, więc wielu poczęło wybiegać przed świątynię. I w istocie białe grono kardynałów z czerwonymi biretami ukazało się na tle olbrzymiej popielatej fasady, a za nimi złoty krzyż: Ojciec św. błogosławił ręką Rzymowi i światu.

Długo rozlegały się oklaski i zdało się, jakby nigdy Watykan nie był zwaśniony z Kwirynałem.



Koronacya Ojca Świętego: Wnętrze bazyliki św. Piotra podczas aktu koronacyi Papieża Piusa XI., odbytej w dniu 12 lu'ego.

Lednicki o stosunku Polski do Rosyi

Doskonały znawca stosunków rosyjskich, wybitny działacz społeczny polski na tamtejszym terenie, Aleksander Lednicki, wygłosił w ubiegłym tygodniu w Krakowie, w Towarzystwie Ekonomicznem, odczyt na temat „Polska a odbudowa Rosyi“.

Odczyt ten zgromadził liczne grono słuchaczów, śledzących z uwagą tak wywodów tego doskonałego obserwatora i człowieka zapatrującego się trzeźwo na obecną sytuacyę, a nie bawiącego się w jakieś do celu nie wiodące sentymenty. Zdaniem prelegenta, do problemu udziału Polski w odbudowie

Rosyi podejść należy z całą zimną krwią i zdać sobie przedewszystkiem sprawę ze stosunku wojennego obu państw do siebie.

Otóż Polska ma dziś dla Rosyi znaczenie, jako czynnik trojakich interesów: kapitału, przemysłu i handlu, oraz pracy. Co do pierwszego, to, wyłączając z kombinacyi Ukrainę i kresy, prócz jednego większego przedsiębiorstwa, należącego w Rosyi do Polaków (kopalnie platyny na Uralu), Polacy w Rosyi samodzielnego kapitału nie reprezentowali.

Co do przemysłu i handlu, to na tem polu możemy nieco zdziałać (manufaktura, wódki, maszyny rolnicze), choć nie za wiele. Pozostaje przeto praca. Ale pod tym względem rodzą się skrupuły. Czy w chwili, w której jąć się trzeba u nas organicznej roboty, mamy swoich najlepszych synów posyłać do Rosyi i ogałacać naszą własną glebę z pracowników? Czy odbudowano już Kalisz, Gorlice, Wschodnią Małopolskę, Brześć Litewski?

Polska tedy może iść do Rosyi jedynie, jako współczynnik kapitału, a nie samodzielnie, oraz służyć



Lednicki o stosunku Polski do Rosyi: Wybitny działacz społeczny, Aleksander Lednicki, którego odczyt obudził w Krakowie ogólne zainteresowanie.

tranzytem. Przedewszystkiem jednak należy zorganizować nasze stosunki, jąć się gruntownej roboty u nas samych, we własnym domu.

Zmiany w dziennikarstwie krakowskiem.

(*Kr.*) Prasa krakowska, która zawsze wysoko dzierżyła sztandar polskiej publicystyki, już w ostatnich latach wojny wzmogła się niesłychanie na siłach, zarówno pod względem ilości jak i jakości publikacyi.

W mieście o stosunkowo niezbyt wielkiem zaludnieniu ukazuje się dziś bądź co bądź 8 codziennych pism (z tych jedno żargonowe) i około 10 wydawnictw tygodniowych (polityka, illustracya aktualna, humorystyka, wydawnictwo dla dzieci), nie licząc w to religijnych i dewocyjnych, fachowych oraz miesięczników, kwartalników i publikacyi pojawiających się okresowo.

Wśród codziennej prasy krakowskiej zajął od razu wybitne stanowisko „Goniec Krakowski" wychodzący od r. 1918.

Początkowo pismo o zabarwieniu politycznem, raz silniej, raz słabiej barwę swą uwidaczniający, a nawet kilkakrotnie barwę tę zmieniający, dziś, „Goniec Krakowski" skrystalizował się w zdecydowanym typie wielkiego informacyjnego, popularnego dziennika, a stało się to z chwilą przejęcia wydawnictwa przez Akcyjną Spółkę Wydawniczą.

Redaktorem „zreformowanego" z dniem 1 lutego „Gońca" został p. Stanisław Zachariasiewicz, wybitny dziennikarz lwowski, długoletni redaktor „Gazety Lwowskiej".

Olbrzymia poczytność dzięki ożywionej treści, wybornym illustracyom, szybkości informacyi i zupełnej wstrzemięźliwości politycznej „Gońca" są wyłączną zasługą jego naczelnego redaktora, pod którego kierunkiem pismo to ma zapewnione powodzenie i uznanie szerokich mas czytelników w mieście i kraju.

Krakowskie „Echo".

W życiu artystycznem naszego miasta zajęła jedno z poczestniejszych miejsc młoda wprawdzie, ale dobrze już wszystkim znana drużyna śpiewacka „Echo". Zespół ten miłośników pieśni, doskonale dobrany i należycie wyszkolony, zdobył sobie wstępnym bojem uznanie całego muzykalnego Krakowa i fachowej krytyki, a że istnienie jego ma racyę bytu, świadczy o tem gorące przyjęcie, z jakiem się spotyka podczas swych publicznych występów, które świadczą bardzo dodatnio o staraniach jego kierownictwa.

Kraków w ostatnich czasach nie posiadał *de facto* prawdziwie artystycznego zrzeszenia śpiewackiego, a brak ten dawał się odczuwać zwłaszcza z okazyi różnych obchodów narodowych. Istnieją wprawdzie chóry przy naszem Towarzystwie Muzycznem i „Chór akademicki", zbyt jednak rzadko spotkać się można z ich publicznymi występami, choć Kraków ma w gronie swych mieszkańców bardzo wielu miłośników pieśni. Z ostatnich dziesiątków lat pamiętamy dobrze naszą „Muzę", oraz „Lutnię", obie one należą już do przeszłości, lukę zaś, powstałą po nich, wypełniło obecnie „Echo", rokujące nadzieje jak najświetniejszej przyszłości, jak to wnosić można z początków, które już postawiły je w rzędzie pierwszorzędnych drużyn śpiewackich.

Jak się dowiadujemy, członkowie naszego sympatycznego „Echa" pracują pilnie i z zaparciem siebie, by wkrótce wystąpić publicznie i zaprodukować krakowskiej publiczności dorobek swej pracy, a zarazem i piękność utworów konkursowych, które odśpiewa na najbliższym swym koncercie. Zapowiedziany popis budzi już dziś w mieście ogólne zainteresowanie, spodziewać się zatem należy tłumnego przybycia słuchaczów, którym rozwój pieśni polskiej leży na sercu. Zeszłoroczne „Festivale", urządzane na dziedzińcu wawelskiego Zamku na cele odbudowy naszej królewskiej rezydencyi, były dla Krakowa nowością i przyczyniły się niemało do wyrobienia popularności „Echa", które pospieszyło ofiarnie, aby i swą cegiełkę dołączyć do ogólnej budowy. Dobry początek, zrobiony w roku ubiegłym, skłoni niezawodnie „Echo" do urządzenia podobnych produkcyi artystycznych, łączących w sobie pożyteczne z przyjemnem, i w roku bieżącym.

Tydzień sportowy w Zakopanem.

Ubiegły tydzień przeznaczony był na Międzynarodowe Zawody Narciarskie i Saneczkowe, które odbyły się w Zakopanem począwszy od 19 lutego budząc ogólne zainteresowanie. Przybyło na nie przeszło 100 zawodników — oprócz polskich, z Czech, Węgier, Jugosławii oraz pośród Niemców czeskich. Francya w ostatniej chwili zawiadomiła, że nie weźmie udziału w zawodach.

Niedzielny bieg (I. i II. klasy równocześnie na tym samym terenie) szedł od Kasprowego do mety między Antołówką a Kozińcem na przestrzeni 11 kilometrów po terenie przeważnie spadzistym, na którym bardzo dobrymi biegaczami okazali się Polacy, zwłaszcza góral A. Czerniak.

Do biegu I. klasy stanęło współzawodników 37.



Zmiany w dziennikarstwie krakowskiem: Stanisław Zachariasiewicz, Redaktor naczelny „Gońca Krakowskiego".

Pierwszy przyszedł Thörn Aladar (Węgry), drugi Koldowsky (Czechy), trzeci Krzeptowski Andrzej.

Do biegu drugiej klasy stanęło 45 zawodników. Pierwszy przyszedł Zelinka, drugi A. Czerniak, trzeci Krnoul.

Pewne fiasko polskich narciarzy wyjaśnić należy tem, że mistrz polski Bujak wycofać się musiał z biegów wskutek wytknięcia nogi. W biegu zaś drugiej klasy pierwszeństwo wziąłby niewątpliwie Czerniak, gdyby nie prawdziwie podhalańska fantazya, z jaką jechał; zapalił sobie np. podczas biegu papierosa, co oczywiście zabrało mu drogi czas.

Publiczności na zawody przybyły tłumy, około 7000 osób, między niemi jenerałowie: Szeptycki, Osiński, Galica i t. d.

Atrakcyą drugiego dnia zawodów narciarskich były skoki seniorów i juniorów w dolinie Jaworzynki, gdzie zbudowana jest odskocznia, jedna z największych w Europie środkowej.



Krakowskie „Echo": Chór „Echa" po jednym z zeszłorocznych koncertów, urządzonych na dziedzińcu arkadowym wawelskiego Zamku.

Z Czech przybyli przedstawiciele czterech klubów, między nimi trzej mistrze narciarstwa czeskiego: Koldowsky, Hebak i Jarolinek. Koldowsky przyjechał bezpośrednio z Norwegii, gdzie brał udział w biegu 50 cio kilometrowym. Z Węgier przyjechali przedstawiciele trzech klubów, z Jugosławii czterech zawodników.

Olbrzymie tłumy ciągnęły już od rana na miejsce zawodów. Do zawodów stanęło 12 zawodników, w czem 7 zagranicznych. Do skoku juniorów stanęło 8, z czego 2 zagranicznych. Skoki na ogół były piękne. Na pierwsze miejsce wybijali się Polacy. Na ogół rezultaty skoków przyniosły faktycznie zwycięstwo narciarzom polskim.

Kolegium sędziów składało się z Polaków, Czechów i Węgrów. Rezultat był następujący: skoki seniorów: 1) Aleksander Rozmus (Polska); 2) Karol Koldowsky (Czechy); 3) Andrzej Krzeptowski. Skoki juniorów: 1) Krnoul (Czechy); 2) Stefan Żychoń (Polska); 3) Stefan Markowski (Polska).



Tydzień sportowy w Zakopanem: Przedstawiciele wojskowości podczas zawodów narciarskich.



Tydzień sportowy w Zakopanem: 1) Zwycięzca w biegu sztafetowym, Bujak. 2) Najdzielniejsi nasi narciarze: Rozmus, Bujak Zubek, Bednarski, Mückenbrunn.

Po tych zawodach kolegium sędziów odbyło posiedzenie, na którem ustalało punkta biegów seniorów i skoków seniorów, celem przyznania tytułu mistrza. Po obliczeniu punktów tytuł ten przypadł Koldowsky'emu (Czechowi), drugie zaś miejsce otrzymał Krzeptowski, trzecie przypadło panu Kalicińskiemu. — Po ogłoszeniu wyniku w mistrzowstwie zapanowała wśród publiczności konsternacya, gdyż wszyscy byli przekonani, że tytuł ten przypadnie Krzeptowskiemu, który wykonał trzy najładniejsze w stylu skoki.



Tydzień sportowy w Zakopanem: Krzeptowski, zdobywca trzeciej nagrody w konkursie o mistrzowstwo Polski podczas skoku.

Trzeci dzień międzynarodowych zawodów przyniósł zwycięstwo Polsce. Rozegrano dwa biegi: bieg pań i bieg rozstawny, które zakończyły się decydującem zwycięstwem Polaków. Zwłaszcza bieg rozstawny miał przebieg niezmiernie interesujący. Polacy zdobyli w nim trzy pierwsze miejsca. Do biegu rozstawnego stanęło 10 sztafet, 4 polskie, 3 czeskie, 2 węgierskie i 1 jugosłowiańska. Trasa prowadziła z Kasprowego na Antołówkę. Długość wynosiła 15 kilometrów. Szczególniej trudną partyę przedstawił zjazd do doliny Olczyńskiej po zboczu bardzo stromem, z którego następnie prowadził bieg w dość gęsty las.

Pierwszy minął metę Rozmus ze sztafety piątej' bijąc czterech pierwszych współzawodników, drugim był Bednarski ze sztafety trzeciej, trzecim Bujak ze sztafety 10, poczem dopiero szli Czesi i Jugosłowianie. Bieg pań zakończył się także zwycięstwem Polski. Przestrzeń wynosiła 7 kilometrów. Pierwsza przybyła p. Ela Ziętkiewiczówna (Polska). Drugą była p. Relhardt Małgorzata (Węgry), akad. klub sportowy w Budapeszcie, trzecią Hanka Hiltowa (Polska). Bieg sztafetowy miał długości 15 kilom. Pierwsza przybyła sztafeta pierwsza, złożona z Fr. Bujaka, H. Mückenbrunna i St. Zubka (Polska). Druga sztafeta, złożona z J. Zubka, And. Krzeptowskiego i Rozmusa (Polska), trzecia, złożona z J. Huberta, Czermika i Bednarskiego (Polska). Czwartą była czeska, piątą czeska, szóstą polska, następną była jugosłowiańska. Węgrzy przyszli bez miejsca.

Wyścigom sprzyjała cudna pogoda. Wieczorem odbyło się uroczyste rozdanie nagród. Wspaniałe nagrody ufundowali między innymi premier Ponikowski, pp. Boy, Herse, hr. Oppersdorf, Gebethner „Ill. Kuryer Codzienny" i inni. Zagraniczni goście byli nagrodami zachwyceni. Następnie odbył się na ich cześć bankiet.

Zakończeniem tygodnia sportowego w Zakopanem były zawody saneczkowe na torze gminnym w Kuźnicach. Wzięło w nich udział bardzo wielu zawodników, przeważnie z pośród uczestników zawodów narciarskich. Wiatr halny, przyniósł odwilż, spowodował także pogorszenie się toru, wskutek czego sanki i saneczki wrzynały się, a wyniki były gorsze, niż na torze normalnym. Wyniki przedstawiały się następująco (długość toru 1830 metrów):

Bieg saneczek sześcioosobowych: Do startu stawało 8 załóg. Jako pierwsze przybyły saneczki prowadzone przez Huberta (Zakopane), II. Łuszczyński Roman (Lwów), III. Łuszczyński Zygmunt (Lwów).

Bieg saneczek czteroosobowych: Startowało załóg 12. I. Lange (Warszawa), II. Pruszczakowski, III. Kowalski (Zakopane).

Bieg saneczek trzyosobowych: Startowało załóg 10. I. Hawranek (Zakopane). II. Łuszczyński Zygmunt (Lwów). III. Koźmiński.

Zwycięskie były tylko polskie załogi. Saneczki węgierskie podczas biegu wykoleiły się. Czesi wcale nie brali udziału w zawodach.

Jugosłowianie w Krakowie.

Dawne, przedwojenne stosunki południowej Słowiańszczyzny z Polską zaczynają powracać znowu. Młodzież południowo-słoweńska, kształcąca się dotąd na praskim uniwersytecie, przybyła w znacznej liczbie do Krakowa, aby studya swe kontynuować na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Głównym powodem tej zmiany miejsca swej



Tydzień sportowy w Zakopanem: Skok Rozmusa w konkursie o mistrzowstwo Polski.

RENE BURES.

Zil=X...

15) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Ani słowa więcej! — zawołał stary blednąc nagle. — Ani słowa więcej, powtórzył ze złością tupiąc nogą. Tu nie chodzi o mojego syna! Niech się pan nie wtrąca w nie swoje rzeczy! Ja się tylko mogę zajmować panem Jerzym Dambleuse.

— Jak się panu podoba — wymówił spokojnie Dalton przypatrując mu się ciekawie.

— Tak mi się podoba — zaakcentował silnie stary Dambleuse. — Nie mam zamiaru oglądać tego pana, póki siedzi w więzieniu. Niech się sam broni. Ja mogę mu tylko dopomóc, ale widzieć go nie chcę!

— Dobrze. Jednakże, może względem pana okazałby się może mniej skrytym. Mógłby nam być pomocnym.

— Nie!

— Dobrze.

— Nie chcę go widzieć, słyszy pan, nie chcę go widzieć!

— Do woli pana.

— Jakie są najbliższe pana projekta?

— Uczynić poszukiwania w pawilonie kapitana, zanim policya zjawi się tam z powtórnem śledztwem. Chcę temu koniecznie zapobiedz.

— My to mamy uczynić?

— My.

— Nie rozumiem jakim sposobem możemy zabronić policyi, aby nie uczyniła poszukiwań w tym pawilonie.

— Bardzo łatwym.

— Niech pan mówi!

— Tej nocy zapobiegniemy drugiemu śledztwu na zawsze.

— Ale jak? jak?

— Popełnimy poprostu czyn karygodny — oświadczył spokojnie Dalton.

Na te słowa aż podskoczyłem na krześle ze zdumienia.

— Czyn karygodny? — zawołał stary Dambleuse.

— Oh! niech się pan uspokoi — wyrzekł flegmatycznie Dalton — powiedziałem czyn karygodny, a nie zbrodnię.

— Jakto?

— Tej nocy dostaniemy się do pawilonu kapitana do Limandoux.

— Tam są pieczęcie, Dalton. Czyś zapomniał?

— Złamiemy je.

— W nocy...

— Okoliczność pogarszająca sytuacyę...

— Będzie nas kilku...

— Druga okoliczność niedodatnia.

— Będziemy uzbrojeni.

— Oto właśnie chodzi.

— Będzie awantura.

— Trzecia okoliczność przeciwko nam.

— Dom jest zamieszkany.

— Czwarta i ostatnia okoliczność potępiająca nas — wymówił flegmatycznie Dalton.

— Narażamy się na zesłanie na ciężkie roboty — rzekł Dambleuse.

— Tak. I pan również.

— Mnie nie chodzi o życie.

— Dla mnie są to nieodłączne ryzyka mojego zawodu. Ale ty, Vallorbe?

— Wiesz, że wszędzie pójdę z tobą.

— Dziękuję ci. Zresztą poco dyskutować nad czemś co się stać musi.

— Niech się dzieje wola Boża — oświadczyłem z uśmiechem.

— Ja zdaję się na przypadek — zaprzeczył zgryźliwie doktór Dambleuse.

Poza prawem.

Północ.

Na prostej równej drodze pędził automobil o sile sześćdziesięciu koni. Księżyc już gasł zapadał się za wzgórkami, które ciemną linią przerzynały horyzont przed nami.

Siedzieliśmy wygodnie oparci o miękkie poduszki nie przerywając milczenia od wyjazdu. Było nas czterech, Dalton, Rene Dambleuse, ja i jeszcze inna osobistość, o twarzy wygolonej, której nie znałem wcale. Na ławeczce obok szofera siedział jeszcze jeden podróżny.

Przejechaliśmy Paryż i pędziliśmy teraz ku Saint-Denis. Automobil nasz był silnie oświetlony wewnątrz elektryczną lampką, druga zaś lamka na tyle oświetlała numer naszego wozu.

— Czy długo jeszcze jechać będziemy ku północnej stronie? — przerwał w końcu milczenie doktór Dambleuse, który od pewnej chwili zaczął zdradzać silne zniecierpliwienie.

— Jeszcze chwilę — odparł zimno Dalton. — Ale prawda nie zapoznałem jeszcze panów — nieprawdaż?

Wskazał ręką człowieka siedzącego naprzeciw mnie i dodał:

— Mój przyjaciel, 42.

— Co pan mówi? — podchwycił żywo stary Dambleuse unosząc się na siedzeniu.

— Mówię mój przyjaciel 42.

— Co to znaczy?

— Wybacz mi, moj kochany Vallorbe, ale nawet tobie nie mogę zdradzić kim jest ten pan. Są pomiędzy nami ajenci, przybywający z różnych stron i z przyczyn najrozmaitszych, nie mogę zdradzić ich. Zresztą, ten numer 42 jest bardzo wygodnym w codziennych stosunkach. Ma nawet pewny odcień amerykański, który powinien się podobać jak sądzę.

— Nieznajomy, na te słowa Daltona uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Ten, który siedzi obok szofera — ciągnął dalej mój przyjaciel — posiada także swój numer 53. Co zaś do szofera, niezapominajcie panowie, że jest to numer 11.

— Doskonale — odparłem, postaramy się zapamiętać te numera.

— Ekscentryczne! Nadzwyczaj ekscentryczne — szepnął stary Dambleuse.

Prędzej praktyczne — dorzucił Dalton.

— Czy mógłbym zapytać — wyrzekł ironicznie Rene Dambleuse — do czego służą te dwa olbrzymie łańcuchy z kłódkami, które pan wrzucił przed wyjazdem do automobilu i które czuję tu, pod nogami. Chyba niema pan zamiaru ujarzmiać nimi dzikich zwierząt.

— Oh! nie! — zaśmiał się swobodnie Dalton. Służyć będą one do zatrzymania tych, którzy nas ścigają.

— Tych, którzy nas ścigają!... — powtórzyłem ze zdziwieniem.

— Tak, możesz się przekonać...

Odwróciłem się szybko i uniosłem firankę zasłaniającą tylne okienko.

W odległości dwustu lub trzystu metrów dojrzałem przy blasku księżyca, automobil pędzący z zagaszonemi latarniami.

— Czy jesteś pewnym, że to nas ścigają? — zapytałem.

— Tak. Tego nie mogliśmy uniknąć. Dlatego też nie usiłowałem przedsięwziąć większych ostrożności.

— Ale...

— Mój kochany — przerwał mi Dalton — niechże nas ścigają skoro się im to tak podoba.

— Księżyc zachodzi — możemy zgubić ten automobil.

— Nie przejmuję się tem wcale. Zresztą czy nie mamy ze sobą tych łańcuchów, zdolnych do wiązania dzikich zwierząt, jak się dowcipnie wyraził pan Dambleuse?

— Co to za żart? — zapytał żywo starzec. — W jakąż to grę bawi się pan z nami? Chciałbym to wiedzieć.

— Zaraz się pan dowie — odrzekł spokojnie Dalton.

— Numer 42! Czy wszystko gotowe?

— Człowiek, który odpowiadał temu numerowi uderzył dwukrotnie w przednią szybę wozu na co otrzymał jakieś kabalistyczne znaki uczynione przez numer 53.

Dalton zaś równocześnie przycisnął mały guziczek, wkręcony w ramę okna. Ciemność nagle ogarnęła automobil.

Wyjrzałem przez tylne okienko wozu. Księżyc już nie świecił i cała droga tonęła w ciemnościach.

— Nic nie widać — szepnąłem.

— Oh, bądź spokojny oni są za nami. Oni widzą naszą tylną latarnię.

— Zgaśmy ją i uciekajmy.

— Nie! Mamy coś lepszego do roboty.

Automobil podążał już teraz wolniej.

Ajent 53 pochylony w tył zdawał się obserwować drogę. Numer 42 również pochylił się nisko, Dalton zaś się uśmiechał. Spostrzegłem w końcu, że numer 42 ciągnął ku sobie olbrzymie łańcuchy, oglądał je uważnie i układał równo. Poczem wyjął z kieszeni dwa klucze i sprawdził sprawność kłódek.

Z głębi zaś pojazdu, Rene Dambleuse otulony po oczy w futro, przypatrywał się nam wszystkim bacznie.

Nagle automobil podskoczył kilkakrotnie. Przejechaliśmy przejazd jakiś. Ujrzałem z boku światełko błyszczące w oknie niskiego domku.

— To tutaj — oznajmił Dalton.

Szofer w tej chwili zagasił latarnię. Zupełna ciemność pochłonęła nas. Nagłym ruchem numer 42 otworzył drzwiczki i trzymając łańcuchy w ręce rzucił się naprzód.

Wyskoczyłem za nim.

— Nie oddalaj się - rzucił mi Dalton.

Automobil zatrzymał się.

Numer 53 zeskoczył z kozła.

— Dalej! do roboty! - zawołał.

I obydwaj biedz szybko zaczęli.

Ten, który miał ręce wolne, skoczył w stronę, z której przybyliśmy i z całych sił zatrzasnąć usiłował baryerę przejazdową. Ciężka baryera nie zgrzytnąwszy nawet na zawiasach zasunęła się wydawszy tylko lekki, głuchy oddźwięk.

Wówczas obydwaj ajenci rzucili się na ziemię, przymocowywać zaczęli obydwa łańcuchy do baryery i przymocowali ją do żelaznego słupka, przekręciwszy starannie klucze w kłódkach.

Teraz już rozumiałem wszystko.

Z ciemności szedł ku nam głuchy pomruk automobilu. Siedzący w nim ajenci policyi, musieli być zdziwieni unieruchomieniem automobilu Igginsa, którego numer porządkowy, obowiązkowo oświetlony odcinał się wyraźnie na tle nocy.

— Uciekajmy — szepnął teraz numer 53. — W małym domku ruszać się coś zaczyna!

Rzeczywiście, cień jakiś mignął w oknie domku. Drzwi otworzyły się ostrożnie i ktoś stanął na progu z latarką w ręce.

— Znowu apasze! Do stu piorunów — zaklął głos jakiś gniewny.

Przy blasku latarni dosrzegłem, że stróż baryery trzymał rewolwer w ręce.

Pochyleni nizko nad ziemią dobiegliśmy do automobilu, stojącego o dwadzieścia metrów odległości. W tej chwili ostatnia latarnia, latarnia oświetlająca nasz numer, zagasła nagle.

Automobil już nie mógł widzialnym być dla nikogo.

— Zrobione — oświadczył numer 53 — wskazując na siedzenie obok szofera. Jedźmy?

Numer 42 zajął już także swoje miejsce. Ja zaś ociągałem się jeszcze ze wsiadaniem:

— Poczekajmy jeszcze chwilę — rzekł Dalton.

Jedną nogą zawisł na stopniu wpatrując się w ciemność, gdzie migotała tylko latarka stróża przejazdu.

— Czy rozumiesz teraz? — zapytał Dalton,

— Wspaniale — odpowiedziałem. — Co za doskonały pomysł.

— Muszą teraz z jakie dwie godziny przepiłowywać te łańcuchy. Pozbyliśmy się ich bardzo łatwo.

— Na coś jeszcze ciekawy?

— Chciałbym bardzo dowiedzieć się, kto się znajduje w automobilu. To są oczywiście ajenci policyjni, ale którzy? Czy Markas jest pomiędzy nimi: A ty czy nie dostrzegłeś jego sylwetki?

— Nie, nic nie widziałem. Ich auto musiało się zatrzymać dosyć daleko za baryerą.

— Tak — odparł Dalton. — Lecz musieli wysłać jednego z pomiędzy siebie, aby zbadał przeszkodę. Oni nie wiedzieli, że tu znajduje się baryera przejazdowa.

Gdy Dalton domawiał tych słów, ostry wystrzał rewolwerowy rozdarł powietrze.

— Doskonale - zaśmiał się Dalton! — Stróż przejazdu strzela do nich biorąc ich za apaszów.

Kilka wystrzałów rozległo się jeszcze.

— O to coś już poważniejszego — szepnął Dalton. Oni odpowiadają na strzały.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

— Czyżby wszyscy byli zabici?

— O, niema obawy, oni się tylko wzajemnie pilnują. Ale to już nie nasza rzecz. Jedźmy!

— Lecz w tej samej chwili, rozległ się nowy wystrzał. Ujrzałem błysk zapalonego prochu i równocześnie usłyszałem za sobą krzyk przeraźliwy, ginący w śmiertelnym jęku.

Numer 53 powalił się z ławeczki na ziemię i nie drgnął więcej.

Instynktownym ruchem zapaliłem zapałkę. Numer 53 leżał przed nami z raną w oku, z której strugami płynęła krew na ziemię.

— A do krocset! — zaklął Dalton.

Wyrwał mi z wściekłością zapałkę z ręki i rzucając na ziemię zawołał:

— Czyś ty oszalał?

(Ciąg Dalszy Nastąpi).

ELIZA POLKO.

Z życia artysty

Pisza, iż lato w r. 1703 promieniało niezwykłą w północnych Niemczech pogodą — miesiąc sierpień zupełnie był pozbawiony cech swoich; upływał wsród połysków słonecznych, wpleciony w tumany kurzu, które z całym przepychem i okazałością wznosiły się w powietrzu, wlokąc zielony, różowo obramowany ogon za sobą.

W dolinie rozciągniętej między Hamburgiem a Lubeką, podobnej do zmazanego studyum akwareli jakiegoś dyletanta, przesuwało się coś zwolna po rozpalonym, bezdrzewnym prawie gościńcu, słońce schowało się na chwilę za chmury, snać było mu za gorąco, pojedynczo rozrzucone drzewa stały w sennej zadumie, jakby marzyły o o kroplach orzeźwiającego deszczu, ptaki skryły się, chrząszcze wszystkie przywdziały jednakową liberyę, a duży szary przedmiot, poruszający się ślimakowato, był tak zwaną karetą pocztową, ciągnioną dwoma siwymi końmi, którymi również siwy, zaspany woźnica kierował. Niegdyś płomienny wóz wyglądał, jakby przybywał z czarodziejskiej krainy móli, gdzie, jak wiadomo, panuje kolor szary; w otwartych oknach igrały chmury prochu, goniąc się, by swawolne chłopcy, grający w łapankę tu i tam.

Wewnątrz owego wehikułu siedziało czterech mężczyzn; trzech z nich, pozbywszy się niektórych części swej garderoby, starało się rozsiąść jak najwygodniej, by tym sposobem złagodzić nieco przykre uczucie, wywołane nieznośnym upałem, który wcń rozpalonych poduszek i skór potęgowała. Jeden tylko z pasażerów, po prawej stronie na przodzie siedzący, zupełnie był ubranym, nie rozluźnił nawet węzła białej chustki na szyi, ale jednak zdjął perukę z długimi lokami i umocował ją do fordekla. Był to dwudziestodwuletni mężczyzna z twarzą więcej roztropną niż pociągającą, z białemi upierścienionemi rękami, które od czasu do czasu z godną podziwu cierpliwością i werwą strzepywały pyłek z papuziego surduta. Nazywał się Jan Mattheson, a był śpiewakiem z opery, kompozytorem i fortepianistą z Hamburga, a od niedawna nawet dobrze płatnym sekretarzem angielskiego rezydenta Jana von Wich.

Naprzeciw niego zajął miejsce pasztetnik z Lubeki z dużym koszem, nakryty starannie białą chustą.

Obok siedział młodziutki chłopiec, protegowany śpiewaka, który dopiero przed paru tygodniami przybył z Halli do Hamburga w nadziei, iż grą na organach i nauką muzyki w wielkiem mieście uzbiera sobie powoli sumę, wystarczającą na odbycie podróży do Włoch, o której marzył, jak pragnący o odżywczym napoju. Nazwisko jego było: Jerzy Fryderyk Händel. Siedział w prawdzie w największym negliżu obok wspaniałego opiekuna, lecz nie można wyobrazić sobie nic piękniejszego nad tę smukłą silną postać młodzieńczą i to kwitnące oblicze z dużemi prześlicznemi oczyma, które w inny świat zdawały się spoglądać i z dumnemi ustami, uśmiechniętemi teraz właśnie po dziecinnemu. Vis-a-vis miał grubego handlarza gołębi z olbrzymią klatką, pełną świegocących stworzonek, któremi bawił się młody Händel, a nawet z tkliwem współczuciem nakrył ich surdutem swoim, aby gorąco i kurz nazbyt im nie dokuczały. Podczas tego oczywiście rozmawiał z sąsiadem o podwójnych fugach, dziełach na organy, o kontrapunkcie, modulacyi i aryach opery, o chórach i koncertach, tak, iż handlarz gołębi i pasztetnik spoglądali na siebie trwożliwie przerażeni uczonością. Później artyści wyjęli papier i pisali o zakład podwójne fugi na „da mente", jak Mattheson twierdził „non da penna".

Obydwaj dążyli do Lubeki, aby przedstawić się tam jako kandydaci na wakujące miejsce organisty przy kościele Panny Maryi. Sławny katedralny muzyk, uczony Buxdehude, miał ich ostro egzaminować. Posada była bardzo korzystna, lecz szczególny warunek do niej dołączono. Oto wybrany organista musiał się zobowiązać do zaślubienia pozostałej siostry zmarłego. O tej klauzuli oczywiście młody Händel nie wiedział nic zgoła, opiekun zataił ją przed nim umyślnie. „Zobaczmy pierwej dzieweczkę — myślał Mattheson — jeżeli ładna, obejmę miejsce; gdy brzydka — wówczas pomogę małemu do ustalenia się, a szczęście jej będzie zupełne".

Nie zależało mu wcale na zatrzymaniu młodego Händla w Hamburgu, nieraz w skrytości zaczynał się obawiać jego współzawodnictwa. Głos młodzieńca w małych partyach operowych brzmiał pełniej niż Matthesona; a gdy Jerzy Händel grał na organach, wszystkie miejsca w kościele były zajęte, tłoczono się do świątyni, niby na odpust. Jako nauczyciela muzyki, rozrywano go formalnie, panny i panie chciały się uczyć tylko od pięknego przybysza. Ze śpiewaczkami trudno było przyjść do ładu, gdy raz na próbie Händel zasadzony przez Matthesona, akompaniował na fortepianie, kokietowały go bez końca, jakkolwiek on zdawał się nic nie słyszeć i nic nie spostrzegać. Nawet piękna córka rezydenta angielskiego raptem ku wielkiemu przerażeniu ojca zapragnęła uczyć się na skrzypcach, lecz nauczycielem musi być młody Händel — dodała. Słowem miasto Hamburg dla obydwóch razem było za szczupłe!

I tu w pocztowej karecie Mattheson musiał się przekonać, że „mały" serca szturmem zdobywa. Pasztetnik, który podczas jazdy z dumą dał się poznać jako zastępca i pomocnik kalikującego na organach jedynie z miłości dla muzyki, traktował go ciągle ciastkami i nadmienił wyraźnie, iż jest gotów poświęcić mu usługi swoje w kościele Najświętszej Maryi Panny. Przy zawarciu owego związku przyjaźni Mattheson zachował się neutralnie; z powodu kilku silnych wstrząśnień pocztowej karety peruka jego spadła z fordekla w sam środek pulchnych pasztecików, zmuszony więc był mimo gorąca ze złością włożyć ją na głowę. Chętnie byłby się zapytał o siostrę organisty, lecz powstrzymywała go obawa, iż wówczas ów ukrywany warunek na jaw wyjść może.

Później zdarzyło się nawet, że Händel zmorzony snem, uderzył silnie głową o klatkę i wyrwał kilka szczebli, wskutek czego trzem gołębiom umknąć się udało. Ale nie powiedziano mu ani słówka. Grubas westchnął tylko, patrząc na wyzwoleńców mruknął: „Na was nie można się gniewać, nie wiem czemu, każdy inny drogo musiałby mi za to zapłacić."

Wreszcie po kilku godzinach uciążliwej jazdy przybyli do starego grodu nad Trawą.

* * *

Ogniste promienie zachodzącego słońca przeciskały się przez pstre okienka i napełniały stary kościół Panny Maryi w Lubece cudownem światłem. Odbicie tegoż drżało na cichych pomnikach i skakało po wyobrażonych na nich w tańcu umarłych postaciach. Organy, na których Mattheson wykonywał swe sztuczne fugi, leżały już w pomroku. Lecz drugie, przeznaczone dla młodego Händla, były oblane różowym blaskiem, a głowa siedzącego przed niemi młodzieńca z odgarniętymi ze skroni kasztanowatymi włosami, wydawała się jakby otoczona złocistą aureolą. Obok niego, z uśmiechem pełnym zaufania i rzekomo z gotowemi do walki rękami stał lubiący muzykę pasztetnik, szeptając:

— Pobijemy tamtego, pobijemy z kretesem.

A na dole w świątyni, by zbite razem tumany prochu usiedli uczeni panowie, pastorowie i śpiewacy z sławnym Buxtehude na czele sądzić zdolność artystów. Podczas gry Matthesona kiwali głowami z upodobaniem, lecz poważnie, tak, że zaledwie atom pyłku ulotnił się z ich olbrzymich pudrowanych peruk. Artysta widocznie znalazł łaskę u nich.

W bocznym kierunku tej grupy, w ławce pod chórem siedziały dwie kobiety w żałobie nieopodal Matthesona. Jedna z nich wysoka, sztywna z energiczną postawą, wychylała się czasami naprzód, a światło z okna leżącego naprzeciw prosto padało jej w twarz, przypominającą kolorytem i rysami twarde nieruchome oblicza świętych ze starych rzeźb. Czepek żałobny z ostrym zębem nad czołem, wysoka kryza podpierająca podbródek śpiczasty, dodawały jej głowie więcej jeszcze surowości i powagi. Obok niej trochę w tył zasunięta prześliczna twarz dziewczęca wyglądała w świetle jak główka aniołka wymalowana na tle złocistem. Była to kwitnąca twarzyczka staro-niemiecka obramowana zwojami jasnych włosów. Niebieskie oczy, delikatne usta i najpiękniejsza figura uzupełniały całość.

— Czy on wam się podoba kuzynko? — spytała cichutko.

— Tak — to człowiek mojej myśli.

— Widzieliście go dobrze?

— Cóż mnie obchodzi twarz jego — grał jak święty.

— Ach! mnie wydaje się tak brzydkim! i dreszcz przebiegł jej członki. Sądzicie, że oni go wybiorą?

I piękne oczy bojaźliwie prześlizgnęły się po długich perukach i wzbijającym się z nich obłoku pudru.

— Pewnie! Gdy ów drugi nie będzie grać jak anioł.

— Ale tego pierwszego my nie chcemy kuzynko!

W poparciu słów delikatne usta zacisnęły się tak silnie, jak gdy ich właścicielka przeciw całemu światu do walki stanąć była gotową.

— Jak ten drugi wyglądać może!

— Nie pytaj o to, dziecię — to rzeczy przemijające, uważaj raczej jak grać będzie.

W tej chwili pierwszy ton wzbił się z organów do góry, szmer niebiański zapełnił powietrze. Jerzy Händel grał. Świeże strumienie światła zalewały poświęcone miejsce. W wszystkie kąty cisnęła się woń wiosenna. Nigdzie nie było cienia; w serca obecnych wiało uczucie podobne do rajskiej szczęśliwości, a ręce składały się mimowoli. Pomarszczone czoła rozpogadzały się, na zaciśnięte usta występował uśmiech młodości i zadowolenia, oczy, które od dawna płakać się oduczyły, połyskiwały łzami. Lecz nie organy to brzmiały, nie organy; z wszech stron płynęły tony, szumiały i szeleściały w cudownej harmonii z siłą i subtelnością, z wspaniałością i wdziękiem jak śpiew chórów niebieskich i serafów.

Szare grono sędziowskie nie siedziało już w martwej nieruchomości jak przedtem, poważni mężowie pochylili się ku sobie, gdy przebrzmiał ton ostatni, by szczęśliwe, obdarowane dzieci. Rozmawiali żywo, wzajem podchwytywali słowa, obcierali sobie oczy, oddychali głęboko, spoglądali wokoło jasno i swobodnie, szczególna zaszła w nich odmiana.

Obydwie kobiety powstały także, ale tylko starsza wyszła z ławki, towarzyszka jej klęczała na ziemi, a oparłszy głowę o pulpit śmiała się i płakała zarazem.

— O, kuzynko, on tędy będzie przechodził, a ja przecie nie mogę mu rąk ucałować, a jednak uwielbiam go, choćby tysiąc razy był brzydszy niż tamten! Kuzynko, powiedz mu to odemnie!

Kuzynka uspokajająco położyła rękę na młodej głowie i odeszła.

W tej właśnie chwili stary kościelny mówił do Matthesona:

— Chcecie widzieć pozostałość po zmarłym, tam są siostry kantora, patrzcie wysoka duża kobieta to starsza, a za nią piękna blondynka ta, którą nowy organista ma poślubić.

Chciał dodać więcej, lecz raptem powstała cisza: młody artysta schodził po schodach, taki młody, piękny, skromny, a przecie spokojny i pewny siebie z blaskiem natchnienia w oczach dużych, z pierwszym promieniem owej glory! na myślącem czole, która potem skroń twórcy Mesyady („Messyasza") oblec miała. Otoczono go kołem, sławny Baxtehude przecisnął się przez tłumy, rzucił się młodemu Händlowi na szyję i ucałował go w obydwa policzki ze łzami w oczach.

— Do wielkich rzeczy wybranym jesteście mój synu! — zawołał z entuzyazmem. Sztuką waszą zdobędziecie serca ludów i przyprowadzicie je do dawnej wiary, jak niegdyś święci malarze pobożnemi obrazami nawracali ludzi na dobrą drogę. Przemawialiście do nas tam z góry, by zwiastun wiecznej siły i wspaniałości podsłuchujący muzykantów niebieskich. Powiedzcie mi jednak, jeźli nie jesteście prorokiem, gdzie w waszych latach nauczyliście się tej gry cudownej?

I jeden za drugim zbliżał się, aby młodemu Händlowi dłoń uścisnąć, żeby przemówić doń, pochwalić i podziękować; z trudnością artysta mógł się między nimi poruszać, zwolna też postępował dalej, aż nagle zatrzymał się przed dużą kobietą, której twarz ciemna zwróciła się ku niemu. Odbłysk uśmiechu zaigrał na jej ustach gdy rzekła:

— Siostra zmarłego organisty, który tam grywał na górze chciałaby wam podziękować!

Wtem Jerzego Händla popchnięto ku wyjściu; nie widział już małej śnieżnej i pulchnej rączki dziewczęcej, która z za żałobnych fałdów dużej kobiety wyciągnęła się do niego, ani natchnionego spojrzenia, które z pięknych łzawych ócz dzie-

wiczych za nim pobiegło. Gdyby nie to, któż wie czy Händel nie byłby został kantorem przy kościele Maryi Panny w Lubece, zamiast podróżować do słonecznej Italii?

Jeszcze tego samego dnia przybyła deputacya do młodzieńca, aby mu ofiarować urząd organisty na całe życie. Przedtem jednak między nim a Matthesonem miała miejsce rozmowa, wskutek której Händel zaszczytne to stanowisko odrzucał pod pozorem, że wiązać się nie może. Mattheson był innego zdania. Tajemnie postarał się o posadę i wyborcy zgodzili się na to — główny wyborca wszelako, różowa, świeża, złotowłosa dziewczyna, młodsza siostra zmarłego organisty odrzuciła go stanowczo i sekretarz angielskiego rezydenta w niezbyt świetnym humorze zaraz za pupilem swoim do Hamburga powrócił.

Czy Jerzy Händel dowiedział się później, że Mattheson okłamał go, gdy w owej rozmowie prowadzonej w cztery oczy, dużą ciemną kobietę wskazał mu jako przyszłą żonę? Niewiadomo, to tylko pewne, iż w rok potem między obydwoma zaszło nieporozumienie, którego powodu nie umiał nikt wytłómaczyć.

Biografowie wspominają nawiasowo o sprzeczce Händla z Matthesonem, przy której zabrzmiał policzek, w następstwie czego obydwaj wyjęli szpady i w publicznem miejscu w Hamburgu na targowicy pojedynkowali się. Szczęściem klinga Matthesena na metalowym guziku przeciwnika rozprysła się w kawałki. To zakończyło sprawę, zapaśnicy pojednali się, ale do tkliwszej przyjaźni między nimi już nigdy nie przyszło, aczkolwiek Mattheson w swych pamiętnikach wystrzega się wzmianki o zwadzie, starając się natomiast wszelkiemi siłami przedstawić jako opiekun późniejszego wsławionego i uwielbianego kolegi.

Podróż do Lubeki wspomina Mattheson w swym dzienniku następnemi słowami:

— Wiem pewnie, Händel śmiać się będzie, lubo teraz rzadko kiedy do tego jest usposobionym, gdy przypomni sobie podróż naszą do Lubeki, a szczególnie handlarza gołębi i pasztetnika, który nam w czasie gry na organach kalikował.

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

6)

Porucznik Grant nie śmiał oczu podnieść; trzymał chustkę na ustach jak człowiek, który się lęka zemdlenia i chce ukryć swoją słabość. Porucznik Thompson, jak urzędnik sądowy, notujący każde słowo w protokóle sprawy, powtarzał pisząc: „podłymi rabusiami, zbójcami".

— Ten czyn, jakikolwiek on jest — odpowiedział Carter, odpychając trzonkiem toporu, który trzymał w ręku, tłum, cisnący się na galeryę — czyn ten jest już dokonanym.

— Nie, nie jest jeszcze dokonanym — odpowiedziała z tą samą gwałtownością i tem samem drżeniem nerwowem gniewu lady Forster.

— Przepraszam panią — odrzekł zimno Carter — już wszystko skończone.

— Przepraszam pana, bo wcale nieskończone jeszcze.

To wyrażenie „przepraszam pana" ze strony lady Forster było najstraszliwszą obelgą, wymierzoną przez nią Carterowi; tylko kobiety posiadają tę sztukę, żeby umieć jednem grzecznem słowem zranić tak straszliwie.

— Panie kapitanie — rzekł Carter — chciejże wytłumaczyć pani...

— Jesteście buntownikami i nie znam was wcale — odpowiedział mu drugi raz odważny i godny kapitan.

— Ale rozkażcież rzucić do wody tę hołotę — rzekła znowu pani Forster, zwracając mowę zarazem do sir Granta, coraz więcej bladego i przerażonego, do porucznika Thompsona, ciągle zajętego pisaniem raportu i do swojego męża, który wiedział dobrze o niepodobieństwie wypełnienia jej żądania.

Carter uśmiechnął się spokojnie.

Zbuntowani coraz więcej niecierpliwiąc się, zaczynali wstępować na schody galeryi.

— Rzućcie ich do morza — powtórzyła jeszcze z większą wściekłością lady Forster — rzućcie do morza tych wszystkich zbójców i nierządnice.

Tłum zbuntowanych zasyczał jak dzikie zwierzęta, a owe kobiety, pomięszane z nimi, odpowiedziały śmiechem pogardy na tę obelgę szlachetnej lady, której krew wybiegła na czoło. Jedna nawet z deportowanych zbliżyła smolną pochodnię do brzegu muślinowej sukni pani Forster w zamiarze zapewnie zapalenia jej, ale ta ostatnia odepchnęła pochodnię nogą i przycisnąwszy ją gorejącą i dymiącą trzewikiem, plunęła w twarz deportowanej.

Ta śmiałość oddziałała na tłum.

— Ale każcie ich rzucić do morza! — wołała ciągle lady Forster, nie mogąc się już posiąść z gniewu i wściekłości.

Pod pierwszym porucznikiem nogi uginały się ze strachu.

— A komuż pani każesz rzucić nas do morza? — zapytał znowu Carter, za którym ryczał tłum cały słowami gniewu i zemsty, cisnąc się gwałtownie na galeryę.

— Ją to, ją trzeba wrzucić do morza! — wołali wszyscy — Tak, trzeba rzucić ją do morza, do morza tę, która biednej Karolinie Prior dwadzieścia plag wymierzyć kazała; do morza! do morza! do morza!

— Oto jest ta biedna Karolina Prior! — wrzeszczały znów inne głosy — oto jest ta nieszczęśliwa ofiara!

Ale wykrzyk: „do morza!" tłumił wszystkie inne.

— Komuż ja rozkażę — odpowiedziała ironicznie lady Forster, jak gdyby nie słyszała tych gróźb i wykrzyków. — Nasi żołnierze! ale cóż robią nasi żołnierze? gdzież oni są? gdzież są oficerowie nasi? gdzie broń? gdzie oręże?

— Zgruchotaliśmy, pani, waszych żołnierzy, oficerów, broń i oręże — odpowiedział Carter, nie utraciwszy ani na chwilę zimnej krwi swojej, chociaż czuł zbliżającą się już chwilę przesilenia. — Zgruchotaliśmy je.

— Tak, jak wy zgruchotani zostaniecie w pierwszym lepszym porcie, do którego zawiniemy, tak jest, wy wszyscy odpokutujecie na szubienicy podłą zbrodnię waszą.

A wrzawa rosła coraz to straszliwsza, okropna, nieustająca i grzmiąca wyrazami śmierci. Majtkowie, deportowane, pochodnie, zardzewiałe pałasze, wypolerowane topory, silne puginały, szpady żelazne, muszkiety, wszystko to pokrywało pomost i cisnęło się na galeryę, coraz więcej ścieśniając w swojej żelaznej obręczy małą grupkę, utworzoną z kapitana Forstera, jego żony, sir Granta, porucznika Thompsona i kilku oficerów.

— Mówisz pani, że każesz nas powiesić w pierwszym porcie, do którego zawiniemy, a czyliż masz jeszcze nadzieję zawinąć do jakiego portu?

— Nie, niema już portu dla ciebie! — krzyknęli zbuntowani — nie... nie... nie...

— Powtarzam wam, że wszyscy pójdziecie na szubienicę — mówiła dalej lady Forster, której głos zagłuszała wrzawa przekleństw, rzucanych na nią, a przygłuszał smolny dym pochodni, kopcący jej twarz i tamujący oddech. Zmęczona nareszcie i oburzona, że zniżyła się aż do walki na słowa z naczelnikiem powstania, lady Forster rzuciła się na swojego męża i wyrwawszy mu szpadę z pochwy i potrząsłszy nią kilka razy nad głową, zawołała:

— Jeżeli znajduje się jeszcze na tym okręcie człowiek ze szlachetnem sercem, który nie zapomniał o tem, że życie jego do Anglii należy, niech będzie mi posłuszny i da ognia do tej hołoty.

Milczenie głuche zaległo cały pomost.

Kapitan Forster rzekł po cichu:

— Milady, cóżeś uczyniła?

Grant zachwiał się jak człowiek, pod którym się uginają kolana; gdyby nie ręka Thompsona, na której się oparł, byłby upadł na pomost. Ostatni szczątek uszanowania dla szlif, które nosił, podtrzymał go jeszcze przez chwilę i Bóg jeden tylko był świadkiem jego podłości.

Thompson zanotował na swoim raporcie słowa lady Forster.

— Czyż nikt nie da ognia do tych nędzników? — zawołała ona znowu.

Wszyscy majtkowie byli w osłupieniu, nie mogąc wierzyć, żeby kobieta śmiała wydać taki rozkaz i nie przypuszczając, żeby ktokolwiek śmiał go wypełnić.

Widząc bezskuteczność słów swoich, lady Forster z zaognionemi oczyma, z wargami drżącemi od wściekłości, zawołała na sir Granta, porywając go za rękę:

— Dowiedźże pan, dowiedźże na Boga, że jesteś mężczyzną i nie dozwolisz słabej kobiecie zawstydzić się w odwadze.

I popychając sir Granta aż do półdziałka, które nieruchomie na swojej lawecie stało na galeryi, lady Forster, ciążąc na nim swoim elektrycznym wzrokiem, zmusiła go gwałtem prawie do popchnięcia deklu. Wystrzał huknął i kartacze sypnęły się na spiskowych.

Cały tłum wydał tylko jeden krzyk, ale jaki krzyk? Echo jego dojść musiało aż do dna morza. Potem głuche milczenie przez kilka sekund i nareszcie zawrzały tysiące wściekłych głosów.

— Śmierć! śmierć! śmierć im wszystkim.

I tysiąc rąk podniosło się razem i tysiąc różnorodnych broni zagroziło małemu gronku oficerów.

Chwilę jeszcze, a groźba miała być uskutecznioną.

— Nikt nie umrze! — zawołał Carter — bo nikt nie został zabitym.

I istotnie, dziwnem jakiemś i cudownem szczęściem kartacze przeleciały ponad głowami tłumu i nikt nie był nawet ranionym.

Przez nadludzkie wysilenie herkulesowych nerwów swoich, Carter zdołał jeszcze ocalić życie kapitana Forstera, ale ubiory oficerów podarte, poszarpane na kawałki wraz ze szlifami, szmatami wstążek i muślinu, pendantami i złoceniami, zaległy ziemię.

— Trzeba przykładu! — zawołał Ascott, Ascott, który co do wpływu, jaki wywierał na swoich towarzyszy, mógł walczyć o pierwszeństwo z Carterem, a w okrucieństwie stokroć go przewyższał, Ascott, na którym opierała się ciągle piękna i olśniewająca Prozerpina.

— Trzeba przykładu! — zawołał mulat Samuel, zbliżając się ze sznurem zarzuconym na ramię.

— Tak, tak, trzeba przykładu! — zawołał Irlandczyk Preston, który wycierpiał był karę na miejscu Karoliny Prior — i zaraz dowiemy się, jakim się to stało sposobem.

— Trzeba przykładu! przykładu! — zakrzyczały głosy kobiece, dziewczęce, świeże jeszcze i ochrypłe już rozpustą, wyuzdane głosy mesalin angielskich, głosy meger, w których się przebijała miłość mocnych trunków, złodziejstwa, rozbójstwa, piekło całe, wszystko krzyczało: — „Przykładu! przykładu! przykładu!!"

I z tych wszystkich wykrzyków przedarł się jeden silniejszy i wyraźniejszy od innych: „Sir Grant na drąg żaglowy, powiesić go, powiesić dla przykładu!" Chwila ta była straszliwa dla sir Granta. Twarz jego pobladła, oczy otoczyły się siną obrączką, a zęby szczękały jedne o drugie.

Carter rzekł po cichu do kapitana Forstera:

— Niech pan powie słowo za nim, a może...

— Jesteś buntownikiem i nie znam cię wcale! — odpowiedział kapitan Forster.

— Tak, tak kapitanie — mówił sir Grant, składając ręce i błagalnie na kapitana rzucając spojrzenie — wstaw się za mną, wszak to twoja żona mnie zgubiła, ona zmusiła do tego kroku.

— Podły tchórz! — mówiła lady Forster — podły tchórz i jam go mogła kochać!

Mulat zarzucił stryczek na szyję sir Granta.

Przestrach pierwszego porucznika niepodobny jest do opisania; twarz jego z bladej zrobiła się zielonawą, jedną ręką przyczepił się siłą tonącego do poły munduru kapitana, drugą zaś rozpaczliwie usiłował rozplątać węzeł, coraz mocniej za szyję go ściskający, ale to było niepodobnem, bo ręka mulata wprawna do łapania na stryczek dzikich koni i byków, coraz bardziej ściskała węzeł; sir Grant jęcząc, odzywał się przerywanemi wyrazami, odwołując się do litości każdego z osobna.

— Kapitanie... pani... sir Thompson... ratujcie mnie... zabiją mnie, zabiją... jam nic przecie nie uczynił... byłem wprawdzie z nimi surowy czasami, ale wypełniałem tylko mój obowiązek... Przecież to nie ja skazałem na plagi Karolinę Prior... jam nic nie winien w tym wystrzale armatnim, przymuszono mnie... tak, przymuszono... O! to straszne, okropne, zabijacie mnie nędznicy... przez Boga! nie ściskajcie tak stryczka... łaski! łaski! łaski! zmiłujcie się nademną... nie zabijajcie mnie... wszak nie macie prawa mnie zabijać.

A majtkowie śmiali się, bo to ucieszne dla nich było widowisko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I tak szczęśliwie skończyliśmy karnawał, a dostaliśmy się pod panowanie wielkopostnego śledzia, który prawdopodobnie z tego powodu odrazu podrożał i z dawnej najbardziej demokratycznej potrawy, dostępnej nawet dla najbiedniejszych, stał się smakołykiem, na jaki pozwolić sobie mogą chyba milionerzy wojenni. Użyliśmy wyrażenia, że karnawał skończył się szczęśliwie, dodać jednak trzeba, że nie dla wszystkich, jak bowiem wykazują zapiski miejskiego Urzędu Statystycznego, liczba małżeństw, zawartych z końcem obecnego karnawału, jest stanowczo mniejszą niż po inne lata. Co wpłynęło na tę stagnacyę na rynku małżeńskim stwierdzić nie zdołaliśmy, choć przyznać się musi, że przedstawicielki płci nadobnej, zwłaszcza zaś te, którym panieństwo daje się już we znaki, nie szczędziły starań, aby rybkę męską uchwycić na małżeńską wędkę. Najprawdopodobniej ma się tu do czynienia z ogólną biedą dającą się coraz bardziej we znaki przedewszystkiem klasie inteligentnej, bo w każdym razie łatwiej biedę klepać pojedynczo, niż we dwoje. Kandydatki do stanu małżeńskiego próbowały najrozmaitszych sposobów, przywdziewały najponętniejsze kostyumy, pokazywały się na sali balowej prawie bez nich, narażając się na przeziębienie, wszystko na nic, królewicz z bajki ani razu nie chciał się zjawić, by poprosić o rączkę rozfl[i]rtowanej panienki. Energiczne ataki kawalerów skierowane były natomiast główme w stronę córek szewców, krawców, rzeźników, piekarzy i tym podobnych ludzi, mających dziś najwięcej pieniędzy, więc mogących zapewnić wygodną i beztroską przyszłość młodemu stadłu. Ale tutaj przebiera się bardzo między kandydatami, wychodząc z tego założenia, zresztą zupełnie uzasadnionego, że inteligent umysłowo pracujący, w obecnych warunkach nie daje córce gwarancyi szczęścia, sam tylko chciałby na tem zrobić interes.

Zdarzyło nam się spotkać jedną z zawiedzionych piękności, która znowu, choć odwilż na świecie, pozostała na lodzie i na zapytanie, jak spędziła karnawał, machnęła lekceważąco ręką, jak gdyby chciała powiedzieć, że lepiej nie poruszać tej materyi. Ale natura niewieścia zwyciężyła, nie mogła wytrzymać świerzbienia języka i wystąpiła z całym szeregiem zarzutów przeciw obecnej młodzieży, przesiąkniętej materyalizmem i nie umiejącej ocenić prawdziwego uczucia. Wypadało ją pocieszyć, że złe da się naprawić, jeśli nie w tym roku to bodaj w przyszłym, a to tem łatwiej, że na czas wielkopostny zapowiedziano już cały szereg tańczących śledzi, że zatem karnawał wcale nie skończył się jeszcze, ale trwa dalej. Gdyby na sali balowej nie udało się znaleźć dozgonnego niewolnika, można go poszukać w sezonie letnim, gdzieś na świeżem powietrzu, które jest, a przynajmniej było, drugim w roku po karnawale targiem małżeńskim. Oświadczyła, że jest to rzecz bardzo niepewna, łatwo bowiem można znaleźć kogoś takiego, który na oko prezentuje się bardzo ponętnie, a potem zawiedzie oczekiwania... Sala balowa w karnawale to zupełnie co innego, tutaj ma się do czynienia ze swoimi, łatwo zatem poinformować się u znajomych o stosunkach nadskakującego, gdy natomiast gdzieś na letnisku, lub w uzdrowisku spotyka się ludzi z całego świata, a trudno chyba wiązać się na całe życie z kimś obcym, nie dającym pewności, że będzie uległym i potulnym małżonkiem.

Takich zawiedzionych biedaczek, którym tegoroczny karnawał nie ziścił ich najserdeczniejszych, a od szeregu lat rojonych nadziei, jest bardzo wiele i wszystkie zgadzają się na to, że tegoroczny karnawał był w całem tego słowa znaczeniu, do niczego, i że nawet takie nowomodne wynalazki, jak fox rotty, shimmy i inne podobne kiwania do celu nie prowadzą. Tego samego zdania są i ich rodzice, niepocieszeni, że ich latorośle muszą dalej więdnąć w ukryciu.

Zliczywszy zatem dokładnie wszystkie *plusy* i *minusy* ubiegłego karnawału, dochodzimy do rezultatu, który przedstawia się dla ogółu jako piękne, okrągłe zero. *Plusy* zostały w kieszeni kupców i przemysłowców, dostarczających artykułów „karnawałowej potrzeby“, *minusy* odczuła boleśnie i długo jeszcze odczuwać będzie kieszeń każdego „karnawalarza“, szczególniej takiego, który miał liczniejszą rodzinę a pośród niej córki, będące w wieku popisowym. Trzeba je było wyprowadzić na targ małżeński, temu i owemu coś „fundnąć“ dla zachęty, a to kosztuje dziś grube tysiące.

Nie brakło i w ubiegłym karnawale na publicznych zabawach nadprogramowych niespodzianek, bawienie się w dentystów, to jest wybijanie sobie nawzajem zębów dostało się także na salę balową, dotąd uprawiane przeważnie tylko w polemice politycznej, w ostatnich czasach przeszczepione także i na niwę naukową. Taka już teraz widocznie moda, że *ręczne* argumenty mają zastąpić *sręczne*. Sala Starego Teatru przypomina sobie dawne, wesołe czasy, gdy to w murach „starej budy przy Placu Szczepańskim“ odbywały się słynne reduty, a choć na nie ogólnie się oburzano, a bywających na nich wysyłano gwałtem do piekła, przyznać się musi, że były one czemś bardzo przyzwoitem w porównaniu z dzisiejszemi publicznemi zabawami, mającemi stanowić rozrywkę dla „śmietanki“ naszego społeczeństwa. (Skrypt w tem miejscu niewyraźny, nie wiem, czy mam złożyć „śmietanki“, czy „śmietnika“?... przyp. zecera). W każdym razie pyskobicia i strzelanina z browningów nie należały do urozmaiceń, z jakiemi można się było spotkać na sali balowej przed wojną, gdy cywilizacya i kultura nie były jeszcze tak daleko posunięte, jak obecnie.

Karnawałowi, który się już uspokoił na rok cały, choć jeszcze od czasu do czasu przypominać nam się będą taneczne podrygi, przemycone w okres wielkopostny pod firmą śledzia i na znak pokuty posypmy głowy popiołem, co dzisiaj dla niejednego, który przez całą zimę w piecu nie palił, a grzał się jedynie ciepłemi wspomnieniami lat ubiegłych, połączone jest także z nieprzezwyciężonemi trudnościami. Pokazało się jasno, że często zasady, choćby nawet stwierdzone doświadczeniem, zawodzą. Gdy istniały centrale, mówiło się ogólnie, że należy je tylko znieść, a usunie się natychmiast brak danego artykułu, pokazuje się jednak, iż to nie zawsze się sprawdza. Centrala opałowa, a taką był Inspektorat węglowy dla Małopolski, przestała już istnieć ku ogólnej radości wszystkich zmarzniętych, a węgli jak nie było, tak niema. Złemu nie zaradziło nawet ofiarowanie przez hrabinę Potocką kilkudziesięciu cetnarów węgli „na święta“ dla najbiedniejszych, ponieważ pokazało się, że takich było około pięćdziesiąt tysięcy, że zatem o każdą grudkę węglową byłoby trzeba ciągnąć losy, a Kraków tak obszernej sali, aby mogła pomieścić wszystkich, nie posiada, trudno zaś urządzać taką loteryę fantową pod gołem niebem. Skończyło się na komunikacie urzędowym, że „pan prezydent rozdzielił węgle między miejscowe zakłady dobroczynne“ i zaraz nazajutrz podniosła się w całym Krakowie temperatura o trzy stopnie.

Ponieważ posypywanie głów popiołem jest znakiem pokuty i żalu za popełnione grzechy, większość Krakowian powinnaby sobie zamówić w Zakładzie Czyszczenia Miasta podał po kilogramie popiołu na swój własny użytek, choć, prawdę mówiąc, niejednemu należałoby wysypać na łepetę całą zawartość „Smoka“. W powojennych czasach wolno jednak na podstawie osobnej dyspenzy pokutować i bez popiołu, tak jak można pościć, używając tłuszczów zwierzęcych bez obawy, aby miały zaszkodzić zbawieniu duszy.

Czas wielkopostny przeznaczony jest na pobożne rozmyślania, które są równie miłe Panu Bogu, jak zwykła modlitwa, aby jednak były skuteczne, trzeba ich dokonywać, jak uczy religia, przebaczywszy przedtem wszystkim tym, którzy wobec nas zawinili. Zanim zatem rozpoczniemy tegoroczne rozmyślania, udzielamy pełnej absolucyi panu Nowaczyńskiemu, który w jednym z poprzednich numerów *„Myśli Narodowej“* wierzgnąwszy, ugodził także i w *Nowości Illustrowane* w sposób sobie tylko właściwy. Przebaczamy mu treść ataku, znając jego zgryźliwość jeszcze z lat chłopięcych i wiedząc o tem, że każde porwanie się na jego „majestat“ już wówczas uważał za kamień obrazy, musimy mu jednak zwrócić uwagę, że forma, jak dla Warszawiaka, a za takiego chce gwałtem uchodzić, nie jest zupełnie odpowiednia. Ale trudno, pan Nowaczyński może sobie powiedzieć: „Jakiego mnie Panie Boże stworzyłeś, takiego mnie masz“, a my dodamy: „Przebacz mu Panie, albowiem nie wie, co czyni“. Z ataku owego niewiele sobie robimy, kopnięcia różnych stworzeń różnie się bowiem kwalifikuje. To jedno jest pewnem, że *Nowości Illustrowane* widocznie zalały sadła za skórę naszemu wielkiemu politykowi i publicyście, skoro tak gwałtownie zareagował. Ale także i to jest pewne, że musiał się spotkać z prawdą, bo, jak wiadomo, ona szczególniej w oczy kłuje, a nie mogąc na tem tle polemizować, strzela się zwykle z poza płotu. To nas jednak cieszy, że pan Nowaczyński poznał się na perełkach, jakie rzuciliśmy pod jego stopy i to wyjęte z korony, w którą sam się przyozdobił, ale uczyniliśmy to w sposób mniej niż on... krowoderski.

Przebaczywszy zatem wrogowi, z spokojnem sercem oddać się możemy rozmyślaniom wielkopostnym, najodpowiedniejszym zaś tematem do nich jest obecna polityka, mogąca służyć jako środek umartwienia nie tylko dla ducha, ale także i dla ciała. Przed wojną były stosunki zagmatwane, obiecywano, że po wojnie tak się rozwikłają, iż poprostu życie dla każdego stanie się przyjemnością, ustaną wszelkie intrygi dyplomatyczne, a ludzkość czeka wiek prawdziwie złoty. Wierzyliśmy w to, bo i któż nie wierzy, gdy mu obiecują coś przyjemnego, przekonaliśmy się jednak, że zadrwiono z nas boleśnie, po wojnie bowiem nie tylko nie poprawiło się nic, ale owszem staje się z dnia na dzień coraz gorzej, a przykre zawody spadają na nas jeden po drugim. Jeśli kiedy, to właśnie po wojnie dyplomacya urządza prawdziwe orgie, a biedny ten naród, którego politycy nie dorośli do swojego zadania, a w tem położeniu właśnie my się znajdujemy. Skaczą nam też po głowie, wodzą za nos, a każdy stara się przedstawić jako nasz serdeczny przyjaciel, któremu tylko dobro nasze na sercu leży. Mamy naprzykład obecnie takiego opiekuna w osobie p. Benesza, chcącego w środkowej Europie odegrać rolę Lloyd George'a, co mu się jednak niezupełnie udaje. Nie można mu zaprzeczyć zdolności dyplomatycznych, ale również trzeba przyznać, że, wzorując się na swym mistrzu, powoduje się jedynie interesem czeskim i pod tym kątem zapatruje się na świat i w myśl tego postępuje. Czesi mogą i muszą go za to chwalić, sąsiedzi nie zawsze. Patrząc się na niego i na jego działalność, przyznać musimy, że to prawdziwy dobrodziej Czech, owego zlepka sztucznego, powstałego z woli Koalicyi, w którym Czesi stanowią mniejszość narodową. I mimowoli nasuwa się narzekanie, że nam Opatrzność takiego męża nie dała, ci bowiem, którzy naszą polityką kierują, dają na każdym kroku dowody, że to praca ponad ich siły i zdolności.

Jeśli dodamy do tego, że ciągłe wewnętrzne tarcia między stronnictwami czynią sytuacyę jeszcze nieznośniejszą, mamy smutny obraz położenia, w jakiem się w czwartym roku naszego samodzielnego bytu znaleźliśmy, skazani sami na siebie i mogący się cieszyć jedynie obietnicami sprzymierzeńców, które jednak nie wychodzą zazwyczaj ze sfery idealnej.

W takich warunkach śpiewać „gorzkie żale“ nie trudno, tembardziej dla nas, którzy przyzwyczajeni jesteśmy do tego jeszcze z dawniejszych czasów, gdy byliśmy na obcem wychowaniu, gdzie nas bito stale w skórę, a nawet płakać nie pozwolono, owszem kazano się cieszyć, że bierzemy cięgi z tak dostojnych rąk. Sądziliśmy, że się to wszystko poprawi z chwilą uzyskania samodzielności politycznej, pokazuje się jednak, że tak nie jest, że gospodarować na swojem nie potrafimy i koniecznie potrzebujemy kogoś, kto umiałby nami umiejętnie i energicznie pokierować, takich zaś na nieszczęście jest aż za dużo, a każdy chciałby to uczynić na swój sposób, wydający się mu za najwłaściwszy, a w rezultacie nie prowadzący do celu i stąd ten chaos, z którego wyjść trudno. Uzdrawiali nas i narodowi demokraci i socyaliści i ludowcy, kuracya w żadnym wypadku się nie udała, nie dlatego, jakoby choroba była nieuleczalną, lecz iż do zwalczenia jej zabierano się w sposób nieumiejętny i niewłaściwy.

Sejm nasz ustawodawczy, który nareszcie po trzech latach zdecydował się na uchwalenie konstytucyi, choć było to jego pierwszym obowiązkiem, poczem powinien się był rozwiązać i zrobić miejsce właściwemu przedstawicielstwu narodu, rad byłby, aby stał się bodaj trzydziestoletnim. Do tego też dąży, wysuwając na porządek dzienny coraz to inne konieczności państwowe, które chciałby oddać załatwione swemu następcy, ale załatwione po swojej myśli, gdyż bardzo wielu posłów wie dobrze o tem, że do sali sejmowej nie wrócą już, chyba w charakterze słuchaczów na galeryę. Przez czas trwania obecnej kadencyi sejmowej mieliśmy cały szereg różnych gabinetów, emerytowanych ministrów mamy zatem dość, naśladując w tym kierunku byłą Austryę. Obecny gabinet Ponikowskiego trzyma się jakoś, niewiele jednak brakowało, a byłby się przed niedawnym czasem rozsypał, udało mu się przecież przezwyciężyć trudności i oprzeć się atakom, skierowanym nań z różnych stron. Każda partya miała już przygotowanych własnych kandydatów, ale, ponieważ liczba foteli jest ograniczona, a po dwu ministrów na jednym siedzieć nie może, żadne stronnictwo zaś nie chciało dopuścić drugiego do steru, został zatem gabinet Ponikowskiego i, o ile nie zajdą jakieś nadzwyczajne wypadki, gotów się utrzymać aż do nowych wyborów, mających się odbyć w czerwcu, jeśli, oczywiście, do tego czasu Sejm załatwi się ze wszystkiem, a najpotężniejsze stronnictwa nie oświadczą, że teraz czas na żniwa, nie na wybory.

nauki była zbytnia natarczywość „braci“ Czechów, chcących gwałtownie objąć kierownictwo sprawami Słowiańszczyzny i prowadzić je w swoim duchu, to jest na swoją wyłącznie korzyść. Pozatem żyją i krzewią się wśród południowych Słowian tradycye przedwojennych serdecznych wzajemnych stosunków, w ostatnich czasach przyłączyły się do nich głosy wybitnych tamtejszych działaczy, przyznających Polsce pierwsze miejsce pod względem rozwoju kulturalnego i etycznego wśród Słowian. Krakowskiemu Uniwersytetowi zawdzięcza wielu wybitnych przedstawicieli Jugosławii swe wyższe wykształcenie, obecnie zwiększy się znacznie ich liczba.

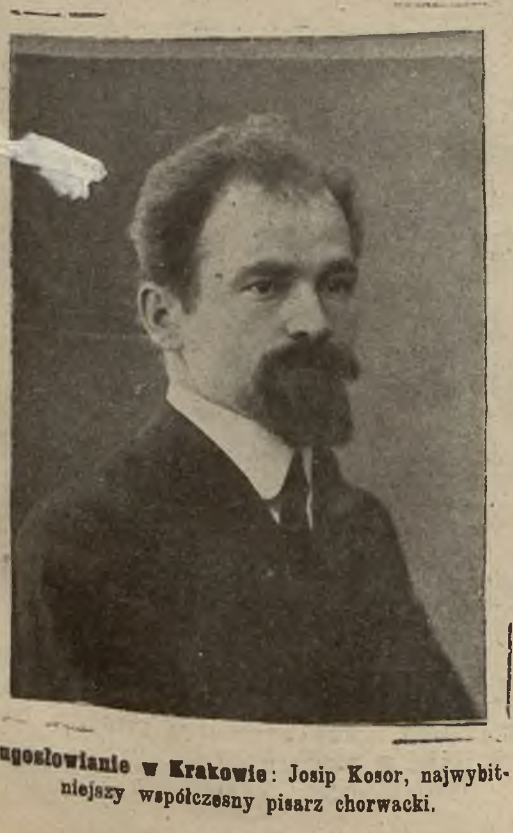


Tydzień sportowy w Zakopanem: 1) P. E Ziętkiewiczówna zdobywczyni I. nagrody w biegu pań. 2) Przybycie zwyciężczyni p. Ziętkiewiczównej do mety.

Równocześnie z przybyciem Jugosłowian zapowiedziano przyjazd do Krakowa najwybitniejszego współczesnego powieściopisarza i dramaturga chorwackiego Josipa Kosora, który miał wziąć udział jako delegat Jugosłowiańskiego Związku Literatów w jubileuszu Przybyszewskiego i wygłosić przy tej sposobności odczyt o stanie współczesnej literatury jugosłowiańskiej. Z powodu nieprzewidzianych przeszkód nie danem nam jednak było powitać w Krakowie sympatycznego gościa, który mógł liczyć na najserdeczniejsze przyjęcie.



Tydzień sportowy w Zakopanem: Zwycięzcy w biegu saneczkowym (obsada Huberta).



Jugosłowianie w Krakowie: Josip Kosor, najwybitniejszy współczesny pisarz chorwacki.

Zamiary matrymonialne ex-Kaisera.

„Stara miłość nie rdzewieje“. Ex cesarz Wilhelm, jak donoszą pisma zagraniczne, czeka tylko na ukończenie się pierwszego roku żałoby po swej żonie, aby wejść w ponowne związki małżeński z liczącą już wprawdzie sześćdziesiąt jeden wiosen życia, ale jeszcze piękną Gabryelą von Rohow, wdową po pułkowniku huzarów śmierci, znaną mu jeszcze z czasów, gdy ona była panną a on kawalerem. Oblubienica gościła już dwukrotnie w obecnej rezydencyi cesarskiego wygnańca, w czasie drugiej bytności miał jej Wilhelm oświadczyć chęć poślubienia. Przyjmowana każdym razem przez byłego cesarza nadzwyczaj wyróżniająco, ma baronowa podobno powrócić tamże znowu w lecie i wówczas miałyby się odbyć oficyalne zaręczyny „młodej pary“. Wieściom tym zaprzeczają wprawdzie niektórzy członkowie z rodziny Hohenzollernów, wszystkie jednak dane przemawiają za tem, że emerytowany cesarz stara się gwałtownie, by się dostać pod pantofelek pięknej Gabryeli.

Rycina nasza przedstawia ex-cesarza Wilhelma wraz z żoną, według zdjęcia, dokonanego w ubiegłym roku na kilka zaledwie tygodni przed jej śmiercią.



Zamiary matrymonialne ex-Kaisera: Wilhelm Hohenzollern wraz z swą małżonką, zmarłą w ubiegłym roku w Doorn.

Sowiecka Rosya za granicą i u siebie.

Rosya była zawsze krajem niespodzianek i zagadek, nigdy one przecież nie występowały w tak jaskrawem oświetleniu, jak obecnie, gdy ster rządów spoczął w rękach „przedstawicieli ludu“. Rosyjska dyktatura proletaryatu, jest nią tylko z nazwiska, w gruncie rzeczy są to rządy oligarchiczne, spoczywające w ręku grupy, nie liczącej się z niczem, tylko z tem, co jej samej korzyść przynosi. Jest to absolutyzm, doprowadzony do ostatecznych granic, a oparty na podłożu wyłącznie egoistycznem.

Wystarczy zestawić ze sobą wiadomości, nadchodzące z głębi Rosyi, o strasznych stosunkach do jakich doprowadziła ten bogaty kraj gospodarka sowiecka z wzmiankami, jak bawią się przedstawiciele urzędowi „ludowej Rosyi“ za granica, aby dojść do przekonania, iż ci, którzy znaleźli się u steru, myślą tylko o swym interesie i zapewnieniu sobie wygodnego bytu, a los ogółu, wymierającego masowo z głodu i chorób zaraźliwych, zupełnie ich nie wzrusza. W dziwnej sprzeczności stoją ze sobą iście Lukullusowe uczty, urządzane w Londynie przez kierownika sowieckiej misyi, Krassina, z żywieniem się wygłodniałych mieszkańców nadwołżańskich gu-

bernii padliną, najohydniejszymi odpadkami, a nawet mięsem ludzkiem, pochodzącem ze zmarłych.

Jak gdyby na ironię, w chwili, gdy cała euro-



Sowiecka Rosya za granicą i u siebie: Leonid Krassin, przewodniczący sowieckiej misyi handlowo-politycznej w Anglii.

pejska prasa podaje wzmianki o strasznem położeniu rosyjskiej ludności, nawołując do energicznej akcyi celem jej ratowania, pisma angielskie kreślą sposób życia członków sowieckiej reprezentacyi w Anglii.

Jak wiadomo, był Krassin, obecny przedstawiciel Sowietów w Londynie, inżynierem w służbie niemieckiej firmy elektrotechnicznej „AEG", której przedstawicielem był później w Rosyi. Gdy wybuchła rewolucya w 1917 r. znikł Krassin i udał się do Szwajcaryi, gdzie spotkał Lenina. Udało się Krassinowi przy pomocy swych niemieckich znajomych uzyskać zgodę rządu niemieckiego na wysłanie Lenina i towarzyszy do Rosyi, i jako nagrodę za tę usługę otrzymał Krassin od Lenina misyę handlową do Londynu. Personal tej „misyi" liczy przeszło 500 osób. Rezyduje on w biurze, które odpowiadałoby tylko królowi dolarowemu, jak Morgan, a o audyencyę u Krassina prawie tak trudno, jak w swoim czasie u „białego cara".

Krassin osiedlił się w najelegantszym i najbardziej ekskluzywnym zakątku londyńskiego Westendu. Jego elegancki automobil firmy Rolls Roys, kosztował 4000 funtów szterlingów (60 milionów mk. polk.), co nawet na angielskie stosunki jest sumą dużą, ponieważ dobry automobil kosztuje najwyżej 1000 funtów. Automobil ten znany jest we wszystkich najdroższych londyńskich restauracyach jak Claridge, Ritz lub Carlton, gdzie Krassin i jego koledzy zjadają najwyszukańsze obiady i lunche przy akompaniamencie prywatnej orkiestry. Krassin także swoje prywatne mieszkanie urządził po królewsku, kupiwszy na ten cel elegancką willę w Hampstead za 18:000 funtów szterlingów i letnią willę na wyspie Wight. Wszystko to pożera naturalnie olbrzymie sumy co wywołuje niezbyt przyjazne uczucia w społeczeństwie angielskiem, które z jednej strony słyszy ciągle nawoływanie do składek na rzecz milionów umierających z głodu w Rosyi, z drugiej zaś strony widzi wyrzucanie milionów zrabowanych ludowi rosyjskiemu przez bandę usankcyonowanych rabusiów, podszywających się pod miano proletaryatu.

Kłopoty naszego przywódcy komunistów.

Jeszcze w połowie listopada ub. r. defenzywa policyjna otrzymała od prokuratora polecenie aresztowania posła Dąbala, wydanego jak wiadomo przez Sejm sądom za agitacyę komunistyczną na wiecach. Nakazu jednak nie można było wykonać, gdyż poseł Dąbal bardzo sprytnie ukrywał się przed władzami bezpieczeństwa. Po orzeczeniu Sejmu, na którem odczytano jego humorystyczną odezwę obronną, w której powoływał się na „leczenie w szpitalu" i „kwarty ropy z niego wytoczone" Dąbal znikł. W kołach poselskich sądzono, że uciekł do bolszewików, co zresztą było bardzo prawdopodobne. Okazało się jednak, że do tego brakło widać Dąbalowi sposobności, gdyż policya warszawska otrzymała wiadomość, że Dąbal odwiedza często niejaką Maryę Stachulową, zamieszkałą w Warszawie przy ul. Wroniej. Dom ten wzięto pod obserwacyę i kiedy Dąbal udał się do mieszkania Stachulowej, w kilka chwil później zjawili się ajenci defenzywy i oświadczyli mu, że jest aresztowany. Dąbal zażądał wówczas pisemnego rozkazu prokuratora.

Ponieważ ajenci rozkazu tego nie mieli, przeto jeden z nich udał się do prokuratoryi, a dwaj inni pozostali z posłem. O godzinie 10 rano powrócił ajent z rozkazem, poczem aresztowanego Dąbala przewieziono do więzienia śledczego przy ul. Dzielnej.

Jak gdyby na osłodzenie tej gorzkiej pigułki, został Dąbal, w uznaniu swych zasług, położonych około szerzenia idei bolszewickiej w Polsce, zamianowany członkiem honorowym moskiewskiego sowietu.

Poseł Dąbal jest najzwyklejszym warchołem politycznym, nie posiadającym właściwie żadnych zasad i dziwić się trzeba łatwowierności wyborców jego okręgu, obdarzających takiego człowieka swem zaufaniem.

Z TEATRÓW.

Teatr „Bagatela": *Ulubieniec kobiet*, farsa w 3 aktach M. Hennequin'a i J. Mitschell'a; *Starzy i młodzi*, komedya w 3 aktach Aleks. Hajo (z węgierskiego); *Opiekuj się Amelią*, farsa w 3 aktach Jerzego Feydeau. W teatrze im. J. Słowackiego: *Pan obrońca*, groteska w 3 aktach Franc. Molnara.

Czas karnawałowy dopuszcza się różnych wymuszeń nie tylko na kieszeniach ojców córek i mężów „od" żon, ale także i na dyrekcyach teatrów. Muszą one — w tym wypadku dyrekcye — myśleć tylko o repertuarze lekkim, zabawnym, muszą kokietować z zachcianką śmiechu i pisku rozbawionej publiczności... (Z) taki np. pan Trzciński mimo to odważa się grać w karnawale „Horsztyńskiego" i w dalszym ciągu „Klątwę" — to dowód albo wielkiej odwagi cywilnej, albo beznadziejnej dyrektorskiej rozpaczy!!...)

O wszystko jednak dzisiaj na świecie łatwo — wyjąwszy rzetelny humor i dobrą komedyę, czy farsę. Te jakoś — o ile nie są wznowieniami firm uznanych i niezawodnych — okazują się bardzo niedowcipnemi, wprost nudnemi i mdłemi. — „Ulubieniec kobiet", farsa dawna, wypróbowana, choć ma treść bardzo nikłą i wątłą — publiczność bawi; jest w tej sztuce sporo satyry na głupie a obłudne kobietki, jest sporo sytuacyi i powiedzeń komicznych, słowem, jest dość dużo „żywiołu" farsy, prawdziwej farsy. Publiczność się bawi, zwłaszcza, że „Bagatela" dobrze rzecz powyższą odegrała..

Atoli nie można już tego powiedzieć o równie dawniejszej farsie „Opiekuj się Amelią". Być może, że tłumom francuskim daje ta sztuka dużo pieprzyku; być może, że u nas, w „Bagateli" została odegraną za ciężko i za wolno, że trzeba w nią wlać dużo precyzyjnej, koronkowej pikanteryi; mimo to wszystko śmiem twierdzić, że walory takie, jak przebywanie bohaterki pod łóżkiem, wystraszanie niepotrzebnych gości prześcieradłem i dwiema pochodniami („Duch"...) chodzenie po scenie w czerwonych mundurowych spodniach i marynarce, zabawianie publiczności sposobami „podaj dalej", że małej dziewczynce na scenie chce się... (Boy by powiedział: ęsi!!), że to wszystko — powtarzam — nawet we farsie za trywialne, za pospolite, przypominające „szmirę" z Prateru, gdzie istotnie są karuzele, na których się jeździ w rondlach itd.

Jeszcze słabszą okazała się komedya „Starzy



Sowiecka Rosya za granicą i u siebie: 1) Dogorywający z głodu uchodźcy rosyjscy z guberni nadwołżańskich. 2) Trupy zmarłych z głodu uchodźców na stepie w okolicy Orenburga. 3) Niewinna ofiara sowieckiej gospodarki



Sowiecka Rosya za granica i u siebie: 1) Ostatni pozostały przy życiu członek wymarłej z głodu rodziny w guberni saratowskiej. 2) Zwłoki dzieci pomarłych z głodu.

i młodzi". Mięszanina naiwności z głupstwem i pretensyonalnością do „słońca", oraz znawstwa dnsz: młodych i starych!! Komedya chwilami w robocie niesmaczna, bardzo dobrze grana przez p. Wernicównę (Helena).

Że Teatr im. Słowackiego wystawił „Pana obrońcę" Molnara, nie dziwimy się; ale dziwić się trzeba, że Molnar tak słabą sztukę napisał. Groteska ta ma być satyrą na dzisiejszą modę, zwłaszcza u pań, rozmiłowanych w apaszach, widzianych oczywiście albo na ekranie filmowym, albo w teatrze lub też wyimaginowanych na podstawie książek.. Tymczasem „Pan obrońca" pierwiastku tej właśnie satyry posiada mało... Trąci trochę farsą („qui pro quo"), trochę moralizuje, trochę nudzi, niemało irytuje, w całość każe wątpić, czy talent Molnara stoi na wyżynie choćby „Dyabła". Grano powyższą farsę dość starannie. P. Kaden był złodziejem (nie: geniuszem!), uczącym galeryę, jak się elektrycznie rozcina blachę kasy ogniotrwałej; dobrym adwokatem Parkerem był p. Dobiesław; romantycznie dla apaszów nastrojoną donną była znów p. Ordyńska (gospodyni u Parkera). Artyści robili, co mogli. Ha, trudno! Niech się Czytelnicy pocieszą, że przyszła recenzya będzie o Rittnerze, a potem o Molierze. *b—i.*

Nasz „Przewodnik literacki".

Szymon Askenazy. „Książe Józef Poniatowski". Wydanie czwarte, nakładem Biblioteki polskiej.

Najprzód wydanie nie czwarte, lecz trzecie, gdyż tak zwane wydanie drugie było pierwszem ze zmienioną kartą tytułową. Książka zrazu nie szła, więc wydawcy wpadli na ten koncept, coraz częściej u nas praktykowany. Autor w kilkuwierszowej przedmowie do wydania drugiego (?) zaznaczył, że dodał tylko kilka drobnych szczegółów, a jedynym nowym szczegółem była nowa okładka na starej książce.

Autor pragnął dać „portret duchowy" bohatera i wykonał to świetnie. Dzięki jemu postać księcia Józefa, bagatelizowana przez niektórych historyków, a zwłaszcza przez dyletantów, odżyła w całej piękności. Szlachetny, prawy, wierny służbie narodowej, gotów do poświęceń, nie wchodził w kompromisy z sumieniem, szedł drogą obowiązku. Była to natura szczera i prosta. Żołnierz waleczny, obywatel nieskazitelny, umiał wśród „walk oryentacyjnych" wyjść bez skazy na honorze, nie uchybić nigdy godności narodowej. Podziwu godna jego skromność, bezinteresowność, prawdomówność, odporność na podmuchy ambicyi. Takim go przedstawił Askenazy, takim też pozostanie w historyi. Zarzut temu portretowi tylko jeden: szczegóły do życiorysu ks. Józefa trzeba przeważnie wydobywać dopiero z przypisków. Pod tym względem monografia Skałkowskiego daje nam pełniejszy obraz życia i działalności ks. Józefa.

Wydanie czwarte, a właściwie, jak zaznaczyliśmy, trzecie, nie różni się w tekscie od poprzednich. Autor rozszerzył jedynie nieco przypiski na podstawie tego, co przybyło do życiorysu ks. Józefa od czasu ukazania się pierwszego wydania. Ale nie objął wszystkiego. Gdyby znał np. broszurę „Przyjaciel ks. Józefa" (Warszawa 1914), nie podawałby w bibl. Krasińskich listów do księcia, gdyż autorem ich był Floryan Dembowski, sekretarz królewski, późniejszy żołnierz Kościuszkowski, dowódca oddziału, autor jedynego polskiego dobrego planu bitwy pod Maciejowicami. Gdyby znał tę broszurę, wyciągnąłby z niej zapewne i kilka szczegółów, drobnych wprawdzie, ale nieobojętnych dla charakterystyki i życiorysu bohatera. B.



Kłopoty naszego przywódcy komunistów: Założyciel i prezes Klubu poselskiego „komunistów" składającego się z dwu osób, poseł Dąbal.

Zdzisław Dębicki: Za Atlantykiem: (Wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Str. 244. (Nakład Gebethner i W.).

Bądźmy szczerzy i powiedzmy sobie, że przed wojną wiedzieliśmy o Ameryce bardzo mało. Słyszeliśmy, że tam emigruje nasz lud, że lwia jego część idzie na dno przepaści, inni natomiast dorabiają się wcale ładnego majątku, to znów wiedzieliśmy, że tam „byli" indyanie i że się budnje drapacze chmur... Ale, kto są ci Amerykanie, jaka ich dusza, charakter, pogląd na świat i życie... o tem ogół nasz nie wiedział prawie nic! Dopiero wojna światowa zbliżyła Amerykę do Europy, a przede wszystkiem do nas Polaków. Z działań wojennych, z dążności ideowych nieśmiertelnego Wilsona, z działalności humanitarnej ludzi takich jak Hoover i inni poznaliśmy nareszcie bodaj zrąb amerykańskiej duszy. To wszystko jednak mało. Potrzeba jeszcze długich a bystrych studyów, by poznać całokształt życia Amerykanów. Pomaga do tego dzielnie książka Dębickiego, „Za Atlantykiem". Autor, świetny felietonista, Amerykę poznał, zrozumiał, polubił, pragnie dać syntezę jej życia, podkreślając cechy dodatnie, nie zamykając oczu na strony ujemne. Zamało może pisze o życiu rodzinnem i religijnem Amerykanów, ale to co jest, jest bardzo zajmująco opowiedziane i bystro podpatrzone. Książka zasługuje na zupełne uznanie. *b—i.*



Z Teatrów: Scena zbiorowa z „Pana obrońcy". Kolejno: Pp. Dobiesław, Działosz Hańska Niewiarowicz, Modzelewska i Kaden (apasz).

Opuścił prasę Nr. 2-gi *Dziatwy Polskiej*, illustrowanego dwutygodnika dla najmłodszych czytelników. Tak w tym numerze, jak i w poprzednim, dobór treści i rycin zasługuje na szczere uznanie, a dowodem, jak potrzebnem było podobne pisemko, jest cały szereg listów, nadesłanych z różnych okolic Polski od naszych Milusińskich, między którymi nie brak nawet jednostek o literackich aspiracyach, z całą gotowością oświadczają bowiem Redakcyi szczerą chęć współpracownictwa. Zwiększa się też z każdym dniem liczba prenumeratorów. Po okazowe numery należy się zgłaszać do *Redakcyi i Administracyi „Dziatwy Polskiej", Kraków XV. ulica Kazimierza Wielkiego — l. 95*



Z Teatrów: Pp. Niewiarowicz (dependent) i Dobiesław (adwokat) w „Panu obrońcy" Molnara.

Kącik humorystyczny.

Kwestya śledziowa.

— Dziś postny dzień, warto wpaść gdzieś na śledzia... Dokąd radzisz?

— Jeśli chcesz zjeść tanio, a dobrego, jedź nad morze, nie będzie cię to więcej kosztować, jak śledź w Krakowie, żołądka sobie nie zepsujesz i zobaczysz kawałek świata...

Organista do kumotra.

— Wicie kumie, teroz w Polsce mają wielgi wzgląd na duchowne osoby. Wczoraj puścili z wojska mojego Jędrusia.

Może ma i racyę!...

— Aby z piekła nie wylazł, kto wynalazł kanapy i otomany...

— A cóż ci one winny... Tak wygodnie siedzieć na nich!

— Mnie o siedzenie nie chodzi!... Ale, gdyby ich nie było, może przestawałaby nas zamęczać swymi utworami jedna z autorek, u której każda scena miłosna rozgrywać się musi na kanapie lub koło niej...

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył A. B. Kraków.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazw pewnego okresu w roku:

Zamek w Karpatach.
Hrabia na Wątorach.
O kawał ziemi.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył L. Górski Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane w kolejnym porządku, podadzą jeden z projektów sanacyi naszych finansów.

R a — —
— — w a
r a — —

Trójkąt magiczny.
Ułożyła B. S. Rzeszów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko budzące niedawno grozę, zwłaszcza pośród kobiet.

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Jeden z naczelników wojny trojańskiej, 3. Imię króla rzymskiego, 4. Rzeka w południowej Rosyi, 5. Egipsk bożek światła 6. Samogłoska.

REBUS:



Sgłoskówka.
Ułożył J. Kwieciński, Lublin.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę pewnej budowli o znaczeniu światowem.

Biała dama.
Pożary i zgliszcza.
Dom otwarty.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Jokaja „Biała dama" (powieść, 2 tomy); 2) Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr 3.

Okienko. Piast, angur, Turyn.

Grzebieniówka: Kola, a, rota, o, Lena, Z, York, t amen.

Zadanie do uzupełnienia: Waza, azot, sago, Zola, yard, nora, góra, tora Omar, Numa.

Logogryf: N, Nil, e, Ems, kos, bajka, Kreta, rower, Pasek, warkocz, maligna.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Górski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Terech Radom, Ks. Krzystyniak Machliniec, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, C. Górny Limanowa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnow, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, W. Komperdowa Lwów, R. Mąka Kraków, W. Śmiszkiewicz Milówka, M. Stachowicz Kraków, Szypulska Wieliczka, M. Kuczyńska Błeszno, W. Olszewska Poznań, J Katz Lwów, W. Nowak Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Olszewska Poznań (Pan Tadeusz); 2) K. Górski Warszawa (powieść); 3 J. Katz Lwów (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.

Właściciele wydawnictwa: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartczewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. B. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego